KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

31.I.1961

Nr 2 (216)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Kosmowska na Lubelszczyźnie ● „Szpilki na co dzień"? ● Konflikty – wspomnienia z 20-lecia ● Prasa lubelska ● Konkurs ● O grafomanii i manii ● I in.

DZIAŁ PLASTYCZNY STRUKTURY

Szkolnictwo Lubelszczyzny w świetle uchwał VII Plenum

EDWARD ZACHAJKIEWICZ

W związku z mającą nastąpić reformą szkolnictwa zwróciliśmy się do Kuratora OSL z prośbą o wypowiedź. Do sprawy reformy powrócimy w następnym numerze.

OD dłuższego czasu sprawa reformy ustroju szkolnego jest przedmiotem dyskusji nie tylko w kołach pedagogicznych, ale stała się problemem, który interesuje całe społeczeństwo. W rozważaniach dyskusyjnych poważna część przedstawicieli świata pedagogicznego wypowiadała się za koniecznością reformy szkolnictwa, wysuwając w zasadzie dwie koncepcje reformy, a mianowicie: koncepcję 8-letniej szkoły podstawowej i 4 lata szkoły średniej (8+4) i koncepcję 9-letniej szkoły podstawowej i 3 lata szkoły średniej (9+3).

Zwolennicy jednej i drugiej koncepcji nowego ustroju szkolnego wysuwali szereg argumentów przemawiających za słusznością ich stanowisk. Więcej jednak było realistów, uważających, że w obecnej sytuacji gospodarczej Państwa możliwe jest przedłużenie okresu nauczania szkoły podstawowej o 1 rok. Należy zdawać sobie sprawę, że przedłużenie szkoły podstawowej o dwa lata groziłoby poważnym obniżeniem poziomu przygotowania do nauki w szkołach średnich i do studiów wyższych, ponieważ przy największych wysiłkach trudno byłoby podnieść poziom nauczycieli szkół podstawowych — w szczególności nauczycieli takich przedmiotów, jak: matematyka, fizyka, chemia i biologia — do wymogów programu 9-letniej szkoły.

Dane liczbowe wykazują, że obecnie w szkołach podstawowych tylko 17,3 proc. nauczycieli posiada wykształcenie wyższe lub niepełne wyższe. Wprowadzenie 9-latki wymagałoby zasadniczej przebudowy sieci szkolnej i znacznego powiększenia izb lekcyjnych, co przekracza nasze obecne możliwości finansowo - gospodarcze. Nic też dziwnego, że Biuro Polityczne KC PZPR stawiając na VII Plenum KC PZPR sprawę reformy szkolnictwa podstawowego i średniego wypowiedziało się za przedłużeniem szkoły podstawowej o jeden rok. Na bazie 8-letniej szkoły podstawowej przewidziało: 4-letnie licea ogólnokształcące, 4—5-letnie technika zawodowe oraz 2—3-letnie zasadnicze szkoły zawodowe. Biuro Polityczne KC PZPR uzasadniając przedłużenie szkoły podstawowej o jeden rok stwierdziło, że obowiązująca dotychczas 7-letnia szkoła podstawowa nie zapewnia obecnie niezbędnego poziomu wiedzy ani dla dalszego kształcenia się w szkole średniej, ani dla młodzieży, która nie uczy się dalej, lecz idzie do pracy zawodowej. Przydział tygodniowy przedmiotów takich, jak matematyka, fizyka, chemia, biologia, język polski, jest niższy w siatce godzin od tygodniowego wymiaru godzin w 8-klasowych szkołach w ZSRR, NRD, Czechosłowacji i innych.

NAUCZYCIELSTWO Lubelszczyzny z wielkim uznaniem i zadowoleniem przyjęło uchwały Komitetu Centralnego PZPR, przedłużające okres nauczania w szkole podstawowej o jeden rok przy zachowaniu dotychczasowego czasu trwania nauki w liceach ogólnokształcących. Uchwalona bowiem reforma pozwoli dokonać zmian programowych liceum, zmierzających w kierunku zacieśnienia więzi szkoły z życiem przez wprowadzenie elementów kształcenia politechnicznego, zarówno w nauczaniu przedmiotów matematyczno-przyrodniczych, jak i poprzez wprowadzenie zajęć mających na celu zapoznanie młodzieży z techniką i pracą produkcyjną.

Oceniając nasz lubelski dorobek w zakresie upowszechnienia 7-klasowej szkoły podstawowej, należy stwierdzić, że notujemy na tym odcinku poważne osiągnięcia. W 1944 roku zaczęto naukę w 1543 szkołach podstawowych, podzielonych na III stopnie według ustawy o ustroju szkolnictwa z dnia 10 marca 1932 r. Pełnych szkół 7-klasowych było 294. W tych warunkach pobierało naukę i zdobywało świadectwa ukończenia 7-klasowej szkoły podstawowej 41 proc. młodzieży w wieku obowiązku szkolnego.

W bieżącym roku szkolnym 1960/61 mamy w województwie 2007 szkół podstawowych, w tym 1366 szkół 7-klasowych. W szkołach tych uczy się 97,5 procent dzieci. Jest to stan zadowalający. W takiej sytuacji można więc w istniejących szkołach 7-klasowych wprowadzić nowy ustrój szkolny przez dodanie 1 klasy, realizując w ten sposób 8-letnią szkołę podstawową od 1963/64 roku szkolnego.

W wielu jednak przypadkach przedłużenie obowiązku szkolnego o 1 rok wymagać będzie dodatkowych izb szkolnych. Z orientacyjnych obliczeń Kuratorium Okręgu Szkolnego wynika, że dla nowych naszych 8-latek potrzeba około 1400 izb dodatkowych. Poważne trudności wyłaniają się w samym Lublinie, gdzie trzeba będzie około 90 izb. W szkołach podstawowych miasta Lublina jest bardzo duże zagęszczenie, niektóre z nich pracują na 3 zmiany. Istnieje tendencja budowy nowych obiektów w samym Lublinie, gdyż nie we wszystkich budynkach szkolnych uda się wygospodarować izby szkolne dla klas ósmych.

W obecnej pięciolatce w związku z reformą szkolną należy zwiększyć kredyty inwestycyjne na budowę nowych obiektów dla szkół podstawowych, bądź dobudować dodatkowe pomieszczenia przy istniejących szkołach. W związku z tym władze administracji szkolnej liczą na poważne i większe niż dotychczas dotacje państwowe oraz na dalszą ofiarność lubelskiego społeczeństwa, które jak dotychczas wiele pomogło naszej oświacie i szkolnictwu. Należy stwierdzić, że szkolnictwo Lubelszczyzny w poprzednich latach nie było dostatecznie finansowane, czego dowodem są właśnie poważne jeszcze braki lokalowe.

(Dokończenie na str. 2)

Narada pożytecznych przemian

ADOLF LEKKI

HENRYK Rzewuski w swoich „Pamiątkach Soplicy" opowiada w rozdziale „Trybunał Lubelski", że ostatni z rodu Illiniczów, wojewoda brzeski, dziedzic licznych włości i przyjaciel Radziwiłła Sierotki, widząc go wybierającego się do Ziemi Świętej, zaproponował mu umowę „na przeżycie". Umowa taka zakładała, że dobra jednej ze stron przechodzą po jej śmierci na własność drugiej. Radziwiłł ponoć przystał na tę umowę. Przystał tym bardziej, że jego krewni byli kalwinami, a bogobojny pielgrzym nie miał zamiaru wzbogacać ich kiesy. Obydwaj panowie pojechali do Brześcia, załatwili formalności, po czym Radziwiłł ruszył w swoją długą drogę.

Pomylił się Illinicz sądząc swoje życie dłuższym, niż być miało. Książe Sierotka świetnie zniósł podróż w wygodnych kolasach, nie znalazł śmierci na szerokim świecie, lecz ona znalazła w Brześciu jego przyjaciela. W ten oto sposób Biała Podlaska, Sławatycze, Czernawczyce i Mir weszły do domu Radziwiłłów. Dla tej okolicy był to swoistego rodzaju awans. Skąpiec wojewoda wyduszał z chłopów każdy grosz i chował go skrzętnie do kufra. Radziwiłł żądał wprawdzie jeszcze więcej, lecz za to postawił w Białej wspaniały zamek, w którym od czasu do czasu wyprawiał huczne bale.

Jeden z ostatnich Radziwiłłów, władców Białej, książe Dominik umocnił zamek bialski, poprawił osypujące się wały, a potem z wystawionym przez siebie pułkiem ułanów świetnie odbył kampanię 1812 roku. W nagrodę za poniesione trudy przysłał do zamku w Białej 50 wozów naładowanych skarbami ze złupionej Moskwy. Niestety, armia dunajska pod dowództwem Czyczagowa nie zatrzymała się nad Berezyną. Sotnie kozackie dopędziły wozy ze skarbami niemal u bram zamku. Nie spodobało się to księciu Dominikowi. Pozwolił sobie na kilka konceptów uwłaczających wojskom Jego Cesarskiej Mości, w zamian za co mściwy admirał rozkazał żołnierzom poszperać w piwnicach magnata. Znaleziono tam perły, brylanty itp. Wartość skarbów przekraczała milion rubli. Od tej pory zamek bialski już się nie dźwignął z upadku. Jego następni władcy, ks. Hohenlohe, kazali rozebrać mury i w ten sposób pozbawili Białą architektonicznej i historycznej pamiątki.

Do dziś przetrwały tylko wały, murowana brama wjazdowa, część oficyn i piękny, choć niesamowicie zaniedbany park. W dawnych oficynach znalazło pomieszczenie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, a także zakłady mleczarskie i... Powiatowy Dom Kultury. Nie bardzo pasuje takie zestawienie, lecz na bezrybiu lokalowym i rak ryba. Kłopoty lokalowe nie są wyłącznym przywilejem dużych miast. Właśnie w tym PDK odbyła się niedawno narada działaczy kulturalnych powiatu bialskiego.

DUET BIBLIOTEKARZY

Znajoma kierowniczka biblioteki gromadzkiej w Sworach mówiła mi przed naradą:

— Mąż jest felczerem. Ja prowadzę tę bibliotekę.

Wprawdzie marnie płacą, ale pracy jest niewiele i tylko kilka godzin tygodniowo.

Ten głos nie był odosobniony. Znam wielu kierowników bibliotek, którzy dla ułatwienia sobie pracy zabierają do domu część księgozbioru i wymieniają książki czytelnikom między zupą a drugim daniem. O tym właśnie myślałem, gdy referent podawał cyfry i przykłady obrazujące rozwój czytel-

(Dokończenie na str. 11)

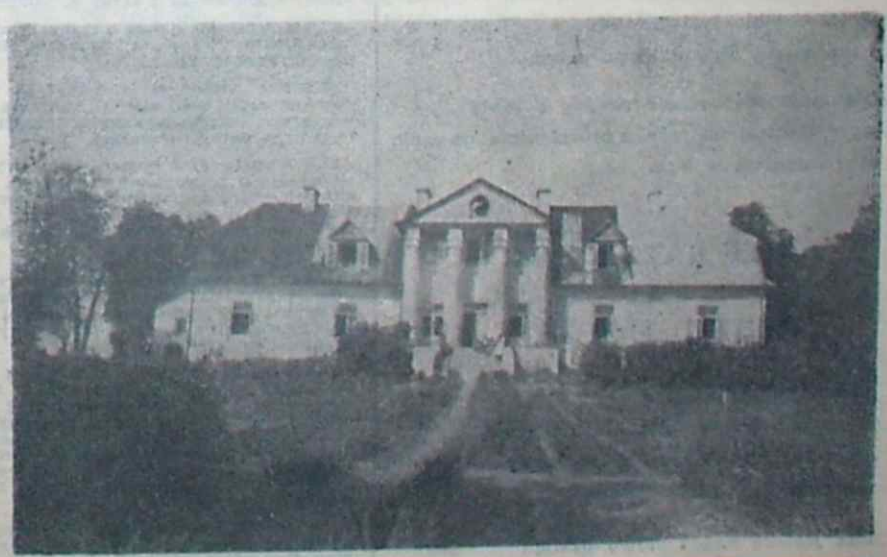

Budynek szkoły krasienińskiej — obecnie siedziba PGRN (vide na str. 3 art. pt. „Kosmowska na Lubelszczyźnie")

Szkolnictwo Lubelszczyzny w świetle uchwał VII Plenum

(Dokończenie ze str. 1)

Sytuacja lokalowa w szkolnictwie średnim nie przedstawia się lepiej niż w podstawowym, gdyż nadchodzący młodzieżowy wyż demograficzny zmusza władze szkolne do stworzenia większych możliwości młodzieży kończącej szkołę podstawową — do kształcenia się w szkole średniej. Roczniki absolwentów szkół podstawowych wydatnie wzrastają (z liczby 24.900 w roku 1960 do 36.000 w 1965). Wymaga to dalszego otwierania szkół średnich, w szczególności szkół zawodowych. A więc potrzebne są nowe budynki, nowe warsztaty szkolne i internaty, bądź też nowe pomieszczenia dobudowane przy istniejących szkołach. Problem zwiększenia liczby szkół zawodowych jest istotny dla tutejszego Kuratorium, gdyż uchwały VII Plenum KC PZPR przewidują, że w 1965 r. na 1 ucznia szkoły ogólnokształcącej ma przypadać 3,5—4 uczniów szkół zawodowych. W naszym województwie ten stosunek obecnie nie przedstawia się najlepiej, bo na 1 ucznia szkoły ogólnokształcącej przypada 1,5 ucznia szkoły zawodowej. Konieczne jest więc przeprowadzenie korekty sieci szkół średnich na terenie Lubelszczyzny. W niektórych przypadkach należałoby może istniejące szkoły ogólnokształcące zamienić na szkoły zawodowe typu zasadniczego.

Mówiąc o rozbudowie szkół zawodowych mam tu na uwadze szczególnie rozwój zasadniczych szkół zawodowych, kształcących przyszłe kadry robotników kwalifikowanych w specjalnościach, na które jest poważne zapotrzebowanie życia gospodarczego. Szkolnictwo zawodowe zaspokaja bowiem potrzeby naszej gospodarki narodowej tylko w 52%. Wyż demograficzny dyktuje dalszy i nieodzowny rozwój sieci szkół przysposobienia rolniczego dla młodzieży wiejskiej, która pozostanie na wsi, pracującej w rolnictwie. W roku 1965 czynnych będzie około 300 szkół przysposobienia rolniczego. Jest to poważny wzrost ilościowy w stosunku do 136 obecnie istniejących. Ponadto należy zwrócić uwagę na rozwój szkół przysposobienia zawodowego. W roku 1965 szkół takich chcemy mieć około 50 na 17 istniejących obecnie.

Plany Kuratorium Okręgu Szkolnego, a przy tym usiłowania, aby jak najwięcej młodzieży mogło uczyć się w szkole średniej, nie mogą być zrealizowane wyłącznym wysiłkiem władz oświatowych. I tu bezwzględnie w większym stopniu niż dotychczas w sukurs administracji szkolnej muszą przyjść zakłady pracy poprzez organizację szkół przyzakładowych i międzyzakładowych. Obecna liczba szkół przyzakładowych jest niewystarczająca, gdyż nie możemy zadowolić się 4 szkołami przyzakładowymi na terenie całego województwa. Jest to ilość więcej niż niedostateczna i zakłady pracy wraz z administracją szkolną muszą ten stan wyrównać już w najbliższym roku szkolnym. W ciągu pięciolecia, do roku 1965, nie powinno być na terenie województwa większego zakładu, który nie miałby szkoły przyzakładowej. Przyjmując, że zakładów mających szkoły przyzakładowe będzie coraz więcej, gdyż zakłady pracy zrozumieją, że powinny zabezpieczyć dla swoich potrzeb jak największej ilości młodzieży możność pobierania nauki po ukończeniu szkoły podstawowej. Z drugiej strony uchwały VII Plenum zalecają powiązanie szkoły z życiem gospodarczym poprzez uzawodowienie szkoły ogólnokształcącej w oparciu o zakłady pracy i warsztaty szkół zawodowych. Zbyt mała ilość młodzieży szkół zawodowych, a w szczególności klas ostatnich, korzysta z praktyk produkcyjnych w zakładach pracy, zbyt mało wskutek tego ma możność zetknięcia się z nowoczesnymi procesami technologicznymi, z nowoczesnym parkiem maszynowym, co jest nieodzowne dla osiągnięcia właściwego przygotowania zawodowego młodzieży. Jest rzeczą jasną, że wiązanie szkół średnich różnych typów z życiem gospodarczym wymaga większego uwzględniania przedmiotów ścisłych i przyrodniczych, wymaga unowocześnienia treści — powiązania z praktyką i nowoczesną techniką oraz zwiększenia poglądowości nauczania.

Przy okazji należy położyć nacisk na unowocześnienie materiału nauczania w historii i języku polskim. Obecnie obowiązujące programy tych przedmiotów zbyt szczegółowo omawiają przeszłość (starożytność). Trzeba więcej uwagi zwrócić na teraźniejszość, aby młodzież mogła lepiej zrozumieć procesy rozwoju społecznego i bardziej uczuciowo związać się z postępowymi tradycjami narodu.

REALIZATORAMI uchwał VII Plenum będzie nasze nauczycielstwo, które musi dokształcać się, podnosić swoje kwalifikacje. Musi też nastawić się na kierunek kształcenia politechnicznego. Administracja szkolna powinna już w tej chwili widzieć nowe kierunki politechniczne na studiach nauczycielskich — takie, jak roboty ręczne i rysunek, musi położyć nacisk na naukę przedmiotów ścisłych, matematyki i fizyki, oraz na powiązanie ich z życiem.

W obecnej sytuacji niewiele jest czasu na planowanie. Plany trzeba przekształcać w czyny, gdyż proces wprowadzenia nowego ustroju szkolnego do szkół podstawowych i średnich będzie realizowany w latach 1963/64,, a zakończony w roku 1967/68.

Poczynając od roku 1963/64 klasa V szkoły podstawowej i klasa IX liceum ogólnokształcącego będą uczyć się według nowych programów. Programy nauczania od I—IV klasy — w myśl wytycznych Ministerstwa — ulegną niewielkim zmianom. W latach 1964/65—1967/68 nowy program będzie sukcesywnie wprowadzany do dalszych klas szkoły podstawowej i liceów ogólnokształcących, a od roku 1966/67 do szkół zawodowych.

Bliski termin realizacji reformy szkolnej stwarza poważne i trudne zadania przed całym nauczycielstwem, przed administracją szkolną wszystkich szczebli. Samemu nauczycielstwu i administracji szkolnej trudno będzie je zrealizować. Do pełnej realizacji nowego ustroju szkolnego, o którym marzyła liczna rzesza postępowego nauczycielstwa w okresie międzywojennym, winno włączyć się całe społeczeństwo, któremu nigdy nie mogą być obce sprawy dziecka, młodzieży, sprawy szkoły przygotowującej do życia i udziału w życiu społecznym.

Edward Zachajkiewicz

NAJBARDZIEJ odpowiadające osobistym dyspozycjom psychicznym, skłonnościom i upodobaniom oraz najbardziej chyba zgodne z charakterem uzdolnień satyrycznych autorki tomiku „Igraszki z pazurem" są doskonałe (najmocniejsze zresztą pozycje zbiorku) „Cztery wiersze Emila zego Ramockiego", (o dwa, niestety, za dużo!) — krótkie, 8-wierszowe warianty parodystyczne jednym paluszkiem.

Stąd, poprzez satyry, pseudosatyry satyryczne „ballady" i literackie parodie (bardzo dobre!) dochodzimy do zamykających tomik, tradycyjnych (najsłabszych w tomiku), „szopek noworocznych".

Z pazurem – na pewno!

Układ ten wiernie na ogół odzwierciedla porządek chronologiczny poszczególnych etapów przeszło 12-letniego procesu kształtowania się indywidualności twórczej Mirosławy Knoff. Odzwierciedla przede wszystkim jednak dominujący wpływ obiektywnych czynników, uwarunkowań pozaosobistych, na przebieg tego procesu oraz na kierunek poszukiwań i zainteresowań satyrycznych lubelskiej publicystki.

Autorka wystartowała już w okresie studiów uniwersyteckich (przykrymi, że muszę wyręczać Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą w jej obowiązkach informacyjno-biograficznych) zwięzłymi, doskonale spointowanymi fraszkami, które sygnalizowały bardzo wyraźnie charakter jej przyszłych zainteresowań literackich i zapowiadały narodziny nieprzeciętnego talentu satyrycznego. Późniejsza belferka a następnie praca dziennikarska przekształciły specyficznie pierwotne dispozycje twórcze debiutantki i zwróciły jej zainteresowania w kierunku swoiście pojętej dydaktyki literackiej. Zamiast fraszek, wymagających od odbiorcy pewnego minimum przygotowania intelektualnego i współpracy przy ich odbiorze, coraz częściej pojawiać się zaczęły na łamach miejscowej prasy satyryczne utwory narracyjne o przejrzystej kompozycji, wyraźnych akcentach publicystycznych i łatwych dydaktycznych pointach. Z miejsca też zyskały olbrzymią popularność i szerokiego kręgu odborców, co nolens volens zmusiło autorkę do kontynuowania tego gatunku twórczości.

Przyznać należy, że satyry i parodie literackie zebrane w tomiku są zręcznie zrobione, z dużą inwencją inteligencją i drapieżnością. Z punktu widzenia doraźnej dydaktyki i doraźnego oddziaływania trudno im odmówić społecznego sensu i społecznej racji istnienia. Rozpatrując natomiast rzecz pod kątem naturalnych zobowiązań twórcy wypływających z postulatu wewnętrznego rozwoju i podnoszenia twórczych zdolności (również bardzo ważny aspekt społeczny!) poddać należałoby chyba aktualną sytuację oraz dotychczasowy stosunek autorki do własnej twórczości gruntownej analizie i wyciągnąć odpowiednie wnioski na przyszłość.

Pożyteczni są na swój sposób radiowi Matysiakowie, potrzebne są niewątpliwie satyry Prutkowskiego, ale nie znaczy, że łatwo byłoby nam zrezygnować z twórczości Mrożka. Wzorem będzie ten ostatni. Od każdego według jego zdolności. Socjalistycznie a więc sprawiedliwie i jedynie słusznie. Obowiązuje każdego. Bardziej tych, którzy mogą dać więcej. Mimo że „Igraszki z pazurem" są naprawdę dobre! — Ba. Właśnie dlatego!

Z. J.

CZESŁAW KURIATA

Wiedza o tobie

Wczoraj skrobałaś marchew
(uczyłem się twoich ruchów na pamięć).
Potem obierałaś ziemniaki
(zachowałem cię w tej chwili na zawsze).
Dziś kroiłaś cebulę
szklistą, niewinną jak w zagadce
„gdy ją rozebrali to nad nią płakali",
i ty płakałaś śmiejąc się do mnie.

A ja wciąż patrzę
aż do zaniku wzroku:
rzeźbię ciebie tysiąckrotną
z marchwią, ziemniakiem, cebulą...

Oto moje zdobywanie wiedzy o tobie
z promieniem na ręce, z promieniem na czole
z promieniem w oku.

JÓZEF RATAJCZAK

Stary poeta

Niski, uśmiechnięty
odczytuje strofy osiemnastowieczne,
tłumaczy się za nie jak za błędy
niezawinione, niedorzeczne.

Raz jeszcze każde słowo dźwiga
i stęchłe kartki tomu wietrzy,
choć tylko sam już czuje ogień, który
wygasł,
rozgarniając popioły swych wierszy.

Lubelski diariusz kultury

6 grudnia 1960 r. w ramach „wtorków literackich" w Klubie „Nora" zorganizowano wieczór autorski Zygmunta Mikulskiego.

8.XII mgr inż. Henryk Gawarecki wygłosił w Klubie „Nora" odczyt o dziejach budowy Lublina i jego architekturze od początków istnienia miasta do końca XVI wieku. Był to czwarty z kolei odczyt z cyklu „Lublin 960—1960".

9.XII w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki wielkim powodzeniem cieszył się wieczór autorski Izabeli Stachowicz „Czajki". Następnego dnia odbyły się dwa spotkania — w Klubie „Nora" i na Zamku.

11.XII odwiedził Lublin jako gość ZBoWiD wybitny poeta wietnamski Nguyen Cong Hoan, aby zapoznać się z dziejami walk partyzanckich na Lubelszczyźnie, o których pragnie napisać książkę.

12.XII wystąpił w sali Teatru im. J. Osterwy teatr estradowy „Arabeska" z imprezą „Nuty i nutki". Zespół stanowią: Barbara Bittnerówna, Wojciech Wiesiołłowski, Mira Goławska, Lesław Finze, Wacław Gay i Jerzy Kapliński.

13.XII w Klubie „Nora" dyskusję na temat „Doktora Faustusa" Tomasza Manna zagajał Stefan Wolski.

14.XII w Klubie MPiK odbył się wieczór autorski Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, zorganizowany z okazji 40-lecia jego pracy literackiej.

15.XII prof. Józef Mazurkiewicz wygłosił odczyt o jurydykach lubelskich, ciekawych procesach sądowych w dawnym Lublinie i o prawnej organizacji miasta — w ramach cyklu odczytów historycznych „Lublin 960—1960".

W hallu Wojewódzkiego Ośrodka Propagandy Partyjnej otwarto wystawę pt. „Gospodarka narodowa i kultura obwodu brzeskiego", przekazaną naszemu województwu przez Komitet Obwodowy KP Białorusi w Brześciu.

17.XII prezes PAN prof. Tadeusz Kotarbiński wygłosił w auli im. J. Marchlewskiego w UMCS prelekcję pt. „Próba ujęcia treści ocen moralnych". Następnego dnia mówił o „Zadaniach i działalności pracowni ogólnych problemów organizacji pracy PAN". Obydwa odczyty miały niezwykle liczną frekwencję słuchaczy.

16 i 18.XII w koncertach symfonicznych prowadzonych przez Mieczysława Nowakowskiego wystąpił pianista z Wenezueli, Andrzej Wąsowski, który wykonał II koncert fortepianowy J. Brahmsa.

21.XII występem Zespołu Pieśni i Tańca z Końskowoli oraz chóru PSS w Białej Podlaskiej zainaugurowano działalność Lubelskiej Sceny Amatorskiej. Umożliwi ona występy najlepszych amatorskich zespołów artystycznych z terenu całego województwa w Lublinie.

30.XII w salach CBWA otwarto dwie wystawy: malarstwa Józefa Abramowicza i grafiki Zbigniewa Podciechowskiego.

5 stycznia 1961 r. rozpoczął się w Lublinie przegląd polskich filmów rysunkowych dla dzieci i dorosłych.

Teatr Propozycji przedstawił publiczności lubelskiej sztukę E. Ionesco pt. „Łysa śpiewaczka" w reżyserii D. Kolaszyńskiej. Wystąpili aktorzy Teatru im. J. Osterwy: M. Kaczkowska, D. Kolaszyńska, S. Stojko, M. Szczechówna, Z. Winiarczyk, W. Wiszniewski.

Odbył się zjazd byłych wychowanków Seminarium Nauczycielskiego im. J. Słowackiego (istniało ono od 1916 do 1937 r., uczył się w nim Józef Czechowicz).

6.I w Filharmonii wykonano operę Verdiego „Aida" z udziałem solistów warszawskich i połączonych chórów Towarzystwa Śpiewaczego „Echo" oraz Państwowego Liceum Muzycznego. Dyrygował Zygmunt Szczepański.

7.I z okazji 300-lecia prasy polskiej przygotowano w Lublinie sesję jubileuszową, na której dr Roman Rosiak z UMCS wygłosił referat o dziejach prasy lubelskiej, zaś po południu tegoż dnia otwarto w Bibliotece im. Łopacińskiego wystawę pn. „Prasa lubelska na tle postępowej prasy polskiej".

11.I nastąpiło ogłoszenie wyników konkursu na projekt nowego teatru. Autorem projektu, który uzyskał pierwszą nagrodę, jest architekt Stanisław Bieńkuński z Warszawy.

12.I w cyklu „Lublin 960—1960" mgr Stanisław Tworek z UMCS wygłosił w Klubie „Nora" odczyt o dziejach Lublina w XVI w. z uwzględnieniem ruchów religijno-społecznych.

W Teatrze im. J. Osterwy odbył się „Wieczór przyjaźni", zorganizowany z okazji przybycia do Lublina delegacji z Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w celu podpisania umowy o współpracy i wymianie kulturalnej między obwodem brzeskim BSRR a województwem lubelskim. Podpisanie umowy nastąpiło 13.I.

13 i 15.I w koncercie symfonicznym prowadzonym przez Józefa Wilkomirskiego wystąpił jako solista czeski wiolonczelista Aleksander Vectomov. W programie utwory Haydna, Saint-Saënsa i Szostakowicza.

16.I lubelska rozgłośnia Polskiego Radia rozpoczęła nadawanie programu na nowej fali 220 m.

(m)

Wbrew hasłu „szpilki na co dzień"

ALINA TOMASZEWSKA

PRZEZ osędziały park, wzdłuż pokrytego lodem stawu, który w lecie jest królestwem dwóch poetycznych łabędzi, wydeptana w śniegu ścieżka wiedzie przed stuletni już chyba dwór z wieżyczką i zegarem. Latem z wieżyczki rozlega się dzwonienie. Zimą mechanizm zamarza i ciszę starego dworku rozpraszają tylko dziewczyńskie śpiewy, swary i pogaduszki. A jest tego niemało. W bieżącym roku szkolnym, który dla Rocznej Szkoły Rolniczo-Gospodarczej im. Ireny Kosmowskiej zaczął się 15 stycznia, zjechały do Wierzchowisk 42 dziewczynki. I to nie tylko z województwa lubelskiego. Są i kielecczanki, i rzeszowianki, a nawet warszawianka. Przyjechały się tu uczyć, jak zostać wzorowymi, nowoczesnymi gospodyniami wiejskimi. Sprawa nie jest prosta, kiedy panuje „exodus" młodzieży wiejskiej ze wsi do miasta.

Nie idealizujmy kandydatek do wierzchowiskiej szkoły. Nie przychodzą tu wcale w charakterze wyrobionych społecznic, z niezłomnym postanowieniem powrotu na wieś i pracy nad podnoszeniem poziomu jej życia. Daleko do tego. Zdarza się, że bywają to po prostu dziewczęta mniej zdolne, których nigdzie nie dało się „upchnąć". Albo takie, które szkołę rolniczo-gospodarczą traktują jako szczebel, po którym można się wdrapać do skróconego technikum w Krasnymstawie. Albo... No, różnie to bywa. A z wyrobieniem społecznym u szesnastoletnich dziewcząt też rozmaicie.

Zadanie szkoły niełatwe. Jeżeli rocznik jest zdolniejszy, to i dziewczęta są trudniejsze do prowadzenia. A jak trafi się mierny, to ciężkich problemów wychowawczych prawie nie ma, ale za to na przyszłość z wychowanek pociecha mniejsza. A tu właśnie o to rozbudzenie zamiłowań społecznikowskich najbardziej może chodzi. Pewnie, że ważne jest i to, aby pięknie chowały się rasowe Sussexy, indyki i kaczki, żeby różowo-białe prosięta jak najszybciej dorastały do rangi bekonów, a krowy stawały się istnymi niewyczerpanymi krynicami tłustego, pienistego mleka. I to jest także ważne, żeby przyszłe rodziny dzisiejszych uczennic były racjonalnie żywione i „własnym przemysłem" ubrane. Żeby w ich ogródkach rosły najpiękniejsze warzywa i kwiaty, a drzewa w sadach uginały się pod dorodnym ciężarem urodzaju. Wszystko to bardzo ważne, ale będzie możliwe do zrealizowania tylko wtedy, kiedy dziewczęta wrócą na wieś. A do tego powrotu trzeba właśnie społecznego wyrobienia, trzeba umiejętności wyrzeczenia się marzeń o pozornie łatwym i rozkosznym miejskim życiu. Na ten, jakże trudny, wychowawczy proces poświęca się rok czasu. Mało, bardzo mało. Jakże tu, między kuchnią a kurnikiem czy oborą, w głowie pełnej egoistycznej chęci użycia świata — właściwej wczesnej młodości — budzić pragnienie nieegoistyczne, myśli o jakiejś pracy dla ludzi, nie tylko dla siebie samej, o „orce na ugorze". Jak zmienić ideał „szpilek na codzień" w ideał solidnych butów gumowych, bez których ani rusz nie przebrniesz rozkisłych od słoty bruzd. Jak przeprowadzić w szesnastoletniej głowie ewolucję ideału biurowej panienki w ideał pani na zagrodzie? Nie zawsze się to udaje. Jedne wracają istotnie na wieś, szybko wychodzą za mąż (bo na ożenek z gospodarną dziewczyną amatorów nie brakuje), prowadzą wzorowe gospodarstwa, działają w KGW i innych organizacjach, pracują nad rozwojem i podniesieniem swojej wsi. Inne uczą się dalej. Zdobywają stopień po stopniu, zdają maturę, zostają instruktorkami i w tym właśnie charakterze też jakoś wracają na wieś. A jeszcze inne wiodą w miastach, a przede wszystkim w małych miasteczkach, niewydarzony żywot zawiedzionych nadziei, ciągle i ciągle łudząc się marzeniami, że może nagle stanie się jakiś cud, który wyniesie je na wyżyny elegancji i rzuci w sam środek miejskich uciech życia, tak jak to sobie kiedyś wyobrażały, bo za taki rewolucyjny cud uważały już sam automatyczny fakt przeniesienia się do miasta.

W świetlicy szkolnej wisi portret po grottgerowsku pięknej pani, w rogu przepasany krepą. Śliczne, subtelne rysy, oczy zapatrzone w dal, na ustach delikatny półuśmiech. Pod portretem podpis: „Irena Kosmowska". To od kilku tygodni oficjalna patronka wierzchowskiej szkoły. A nieoficjalna od dawna, to znaczy od czasu, kiedy kierownictwo objęła tu pani Helena Skarżyńska. Nie znaczy to bynajmniej, że w Wierzchowiskach mówiło się wiele o samej Irenie Kosmowskiej. Po prostu wcielało się w życie jej idee wychowując dziewczęta w ten, a nie inny sposób, przygotowując ten jakże różnorodny narybek do roli przyszłych światłych, społecznych działaczek wiejskich.

W albumie pamiątek minionych lat pani Helena Skarżyńska przechowuje stare zdjęcie. Jest na nim grupa wiejskich dziewcząt i nauczycielek, a między nimi piękna pani ze świetlicowego portretu. To wspomnienie ze Szkoły Rolniczo-Gospodarczej w Krasieninie z lat 1926—31, szkoły hartu, zapału i niedostatku, szkoły wspólnoty i życia dla ludzi.

Pani Skarżyńska jest rodowitą warszawianką.

— Zawsze bardzo lubiłam ogrodnictwo i wieś, choć nie bardzo miałam pojęcie, jak naprawdę wygląda życie w niej. Wyobrażałam to sobie zbyt „sielsko-anielsko".

Poszła więc studiować na Wyższej Szkole Ogrodniczej w Warszawie. Potem była jakaś praca tu i tam i wreszcie pragnienie uczenia w rolniczej szkole. Działaczem Staszicowskich Kółek Rolniczych, które miały zabarwienie lewicowe, był wówczas w Warszawie Zygmunt Kobyliński. Dzięki niemu właśnie pani Helena została nauczycielką w krasienińskiej szkole. I wtedy przekonała się, że „sielskość-anielskość" wiejskiego życia znaleźć można chyba tylko w bukolikach i neoklasycznych idyllach. Bo na lubelskiej wsi aż wrzało od ścierania się różnych prądów, akcji i kontrakcji.

Szkoła w Krasieninie nie była dobrze widziana przez ówczesne władze, toteż mowy nie było o jakichkolwiek subsydiach z tej strony. Utrzymywała się z niewielkiego czesnego, które płaciła część uczennic (niezamożne uczyły się za darmo), i skromnych sumek łożonych przez Staszicowskie Kółka Rolnicze. Nieraz bywało głodno, zwłaszcza w latach 1926—27. Np. mleko od dwóch szkolnych krów musiało wyżywić około 50 osób. Piosenka, którą, między innymi, śpiewały dziewczęta podczas dożynek:

*Nasza panna Ada *)*
ma kłopotu wiele:
wszystkie na nią patrzą usta,
a spiżarnia pusta

— bynajmniej nie była niefrasobliwą przymówką, ale żałosną prawdą.

I życie w krasienińskiej szkole nie było łatwe. Po wodę trzeba było schodzić z wysokiego wzgórza do położonej w dole studni. Jeden koń, używany przede wszystkim do robót w gospodarstwie, nie mógł służyć jednocześnie za cuganta. A więc na zebrania kółek, czy też w jakichś innych wypadkach, brnęło się na piechotę 15 km do Lublina i 15 km powrotem.

Twarda była ta krasienińska szkoła charakterów. Twarda z musu, z niejedwabnych, trudnych warunków życiowych, ale hartowała i jednoczyła. Nie było lamentów, upadków beznadziejnych na duchu, chęci wygodnego urządzenia się kosztem innych. I dziewczynki, i nauczycielki wiedziały jedno: życie jest podłe i złe. Trzeba je zmienić, poprawić. Cała praca szkoły szła zdecydowanie w tym kierunku. Cementowała ją jeszcze mocniej solidarność, jaka panowała między kierowniczką — nieżyjącą już obecnie — panią Stefanią Bobowską, nauczycielkami i uczennicami. Wszystkie razem cierpiały niedostatek, razem pracowały, cieszyły się i smuciły.

Wśród tej zżytej, niewieściej, krasienińskiej społeczności, pojawiała się od czasu do czasu śliczna postać Ireny Kosmowskiej. „Biała Pani" — jak nazywały ją dziewczynki od białych sukien, które zwykła nosić latem. Była wówczas posłanką na sejm, z powiatu lubelskiego, krasnostawskiego i lubartowskiego. I aż dziwne się wydawało, że ta śliczna, wykształcona, subtelna kobieta, córka zamożnej warszawskiej rodziny, która byłaby prawdziwą ozdobą każdego salonu, pomimo słabego zdrowia, jeździ całymi dniami chłopską furmanką, bierze udział w zebraniach, wiecach i agitacjach. Że w jej piersiach bije wielkie serce społecznej działaczki, wrażliwej na krzywdę i niedolę, całkowicie oddanej wielkiej idei poprawy losu polskiej, chłopskiej wsi.

Dobrze się czuła w krasienińskiej szkole, wyczekiwana tu i upragniona. Zostawała zwykle na parę dni. Dziewczynki ją uwielbiały. Umiała zajmująco opowiadać, grać, lubiła słuchać piosenek. Pozostawała po jej pobycie chęć wytrwania, duch szkoły bujał gdzieś na wyżynach, a w umysłach paliły się uczucia patriotyczne i społeczne.

Nie na tym kończyły się kontakty Ireny Kosmowskiej z krasienińską szkołą. Jej pełne antycznych mebli warszawskie mieszkanie, które nieraz dawało schronienie różnym działaczom, stawało się jednocześnie domem kilku najzdolniejszych dziewcząt uczących się dalej w Warszawie. Irena Kosmowska starała się oprócz mieszkania zapewnić swoim wychowankom także wyżywienie i ubranie na okres nauki.

— Pamiętam — opowiada pani Skarżyńska — pewien dzień w Krasieninie, kiedy czekałyśmy z niepokojem na przyjazd Ireny Kosmowskiej. Mijały godziny, dzień wlókł się jak żółw. Wieczorem przyjechała jedna z działaczek z hiobową wieścią: Irena Kosmowska została aresztowana na wiecu w Lublinie.

Nie było to jedyne aresztowanie. „Białą Panią" zabiła ciemna siła hitleryzmu, ufająca prymitywnemu wierzeniu, że wystarczy obrócić w proch zadumane oczy, piękne ręce, niezwykłe serce, a zginie wszystko, co było Ireną Kosmowską. Nieprawda. W szkołach rolniczych, w kołach ZMW rosną i dojrzewają młodziutkie działaczki wiejskie, które wbrew prądowi „exodus do miasta", wbrew idei „szpilki na codzień", wrócą na wieś nie z musu i zawiedzionych nadziei, ale z potrzeby serca, ze zrozumienia swojej roli życiowej, z pragnienia działania na opuszczonej ważnej placówce.

Irena Kosmowska w gronie nauczycielek szkoły krasienińskiej (w centrum zdjęcia)

**) Adamina Rutkowska, instruktorka gospodarstwa.*

Kosmowska na Lubelszczyźnie

ROMUALD KARAŚ

IRENA Kosmowska jest jedną z najpiękniejszych postaci polskiego ruchu ludowego. Ciekawa, niezwykle znamienna była jej droga ideowego rozwoju. Wiodła od koncepcji pracy dla ludu do przezwyciężenia tego założenia na rzecz jedynie słusznej pracy z ludem. Kosmowska musiała przełamać niejedno z inteligenckich uprzedzeń, niejedną z zasad życiowych osób bliskich, poczynając od własnej rodziny. W ciągłym obrachunku z sobą i z otoczeniem cechowała ją wielka uczciwość i odwaga. Te rysy charakteru przejawiały się stale w pracy publicystycznej, popularyzatorskiej, w działalności poselskiej, w stanowisku zajmowanym w ruchu ludowym, w postawie wobec sanacji i hitlerowskiego okupanta.

*

Lubelszczyzna stanowiła jeden z głównych terenów działalności Ireny Kosmowskiej. Już jako sekretarz redakcji „Zarania" odkryła wśród współpracowników pisma wielu młodych, utalentowanych ludzi. Do najwybitniejszych należy Kajetan Sawczuk. Ten absolwent szkoły rolniczej w Sokołówku Podlaskim zdradzał ogromne zainteresowanie wiedzą i gorące pragnienie pracy dla ludu. Miał ponadto niemały talent poetycki. Kosmowska żywo interesowała się jego twórczością. Doprowadziła do wydania w Krakowie „Pieśni" Sawczuka. Gdy poeta zapadł na gruźlicę, na własny koszt leczyła go w sanatorium w Otwocku i w „Bratniej Pomocy" w Zakopanem. Aresztowanie opiekunki i wywiezienie jej w 1917 r. do Rosji zbiega się ze śmiercią młodego poety. Dla Kosmowskiej Sawczuk jest postacią, która stanowi doskonałe potwierdzenie wartości tkwiących w chłopskiej młodzieży. Do zbiorku „Pieśni", będących świadectwem talentu i ideowości poety, przywiązuje szczególną wagę, wydając go powtórnie w 1924 roku w Wilnie.

Program oświaty rolniczej i wychowania młodzieży chłopskiej zbiega się w działalności Kosmowskiej z założeniem przez nią szkoły dla dziewcząt w Krasieninie, w powiecie lubartowskim.

Wybór Lubelszczyzny jako terenu powstania szkoły nie był przypadkowy. Na krajowym zjeździe kółek rolniczych myśl tę popiera nie tylko Kosmowska, lecz także Kazimierz Dulęba, działacz w młodości związany z „Proletariatem" Waryńskiego, później z ramienia „Światła" organizator tajnego nauczania w Niezabitowie, a także grupy lubelskich zaraniarzy oraz „Światła", — i Franciszek Stasiak, instruktor kółek rolniczych w powiecie puławskim.

Szkoła powstała w 1912 r., z uwagi na wrogi stosunek władz carskich — pod nazwą fermy gospodarczej, której udziałowcami byli: Irena Kosmowska, dr Mieczysław Biernacki, dr Paweł Jankowski, Halina Chełmicka. Dalsze ofiary na jej urządzenie, dzięki zabiegom Kosmowskiej, wpływały od ziemian, warszawskich potentatów oraz ze składek inteligencji i chłopów. Na początku w szkole odbywały się kolejno 6-miesięczne kursy dla dziewcząt i chłopców. Wybuch pierwszej wojny światowej przerwał zapowiadającą się pomyślnie pracę. Zabudowania i wyposażenie szkoły, zdobyte z tak wielkim trudem, ulegają niemal doszczętnemu zniszczeniu przez obozujące wojska i ludność. Wydawało się, że upadek tej placówki oświatowej jest dokonany. Ale wówczas do odbudowy przystępuje założycielka — Irena Kosmowska. Za jej namową dyrektorem szkoły zostaje Kazimierz Dulęba. Ma najtrudniejsze pole do pracy, bo wciąż musi się borykać z brakiem pieniędzy, pomocy naukowych i wyposażenia gospodarczego potrzebnego do normalnego przebiegu nauki. Dzięki staraniom Kosmowskiej opiekę nad szkołą obejmuje Centralny Związek Kółek Rolniczych. Szkoła zyskuje silne poparcie materialne. Do pracy zaangażowane zostają: jako dyrektorka i instruktorka ogrodnictwa — Róża Zybsówna, Stefania Bobowska — instruktorka rolnictwa, Genowefa Jaśkiewiczówna — nauczycielka przedmiotów ogólnokształcących (po niej uczyła Irena Ciborowska), Adamina Rutkowska — instruktorka gospodarstwa (kuchnia, pranie itp.), Janina Gorecka — instruktorka szycia i robót ręcznych. Założona zostaje wzorowa biblioteka; szkoła uzyskuje szereg pomocy naukowych. Nauka jest bezpłatna. Dziewczęta na wyżywienie muszą dawać rocznie tylko metr żyta. Wiele stypendiów swoim uczennicom fundują sejmiki lubelski i lubartowski, sprawujące bezpośrednią opiekę nad szkołą.

Niezwykle ciekawy był profil szkoły. Założycielce — Irenie Kosmowskiej, dyrektorce (po 1926 r. funkcję tę aż

(Dokończenie na str. 9)

KONFLIKTY

KONRAD BIELSKI

GDY wracam myślą do tych dni, które przeżywaliśmy w pierwszym zetknięciu z niepodległym państwem polskim, ustawicznie kojarzą się analogie z Przedwiośniem Żeromskiego. Wprawdzie wśród nas nie było starego Baryki, który by rozbudził naszą i tak podatną fantazję w kierunku wizji szklanych domów, ani ta odzyskana Ojczyzna nie była tak niedostępna i daleka, kilka rzek wołyńskich w owym czasie stanowiło przeszkodę trudną do pokonania, ale wieści choć skąpe i niedokładne z tamtego brzegu dochodziły, — jednak niewątpliwie uczuciem, które nas wszystkich bez wyjątku opanowało, było rozczarowanie.

Co tu dużo gadać. Każdy sobie tę Ojczyznę wymarzył po swojemu. Starsi jeszcze według wieszczów i przepowiedni, młodzi nieco inaczej, ale też fantazyjnie i nieco baśniowo. A tu konfrontacja z rzeczywistością biła nas ustawicznie jak pałą po łbie.

Jeszcze na dnie serc tliły się niewygasłe żale do tego wojska polskiego, na którego pomoc czekaliśmy nadaremnie, a które zostawiło nas w Szepietowie na łup i pastwę bandytów, petlurowskich, a już nowe konflikty rodziły się na poczekaniu. Pierwszy od razu powstał w związku z dalszą podróżą. Kierownictwo naszej grupy zażądało od wojska, które było jedyną władzą na tamtym terenie, by nam dano odpowiednią ilość wagonów towarowych i dostawiono do takiej stacji kolejowej, która posiadała mniej więcej normalną komunikację z Krajem. Podobno taką stacją był Kowel.

Żądanie to spotkało się z kategorycznym sprzeciwem. Wojsko ma inne, ważniejsze zadania do spełnienia. Nie tylko że nie dostaniemy wagonów, ale musimy natychmiast opróżnić zajmowane dotychczas. Te zdobyte przez nas po lokatorsku i z takim trudem i wysiłkiem wagony! Na dalszą podróż musimy poczekać może tydzień, może dwa, póki oddziały wojskowe stacjonujące w Sławucie nie wykończą poleconych im zadań. Wtedy przyjdzie kolej na nas i zostaniemy przewiezieni nie tylko do Kowla, ale nawet i do Lublina. Na razie radzą nam zakwaterować się w najbliższych chatach, cierpliwie czekać i nie wtrącać się do nieswoich spraw.

W małym naszym światku zawrzało. Ludzie byli fizycznie i nerwowo wyczerpani do ostateczności. Perspektywa długiego oczekiwania w brudnych chałupach, wśród obcej ludności, w obliczu zbliżającej się zimy przerażała wszystkich. Sławuta było to małe miasteczko, własność kresowego magnata księcia Romana Sanguszki. W pierwszych dniach rewolucji książę został zabity, pałac spalony, służba pałacowa i urzędnicy z zarządu dóbr uciekli, domy ich były rozgrabione. Dokonali tego wracający z frontu zrewolucjonizowani żołnierze, przy życzliwym współudziale okolicznych mieszkańców. Mnóstwo rzeczy, niejednokrotnie olbrzymiej wartości, pochodzących z pałacu, jak obrazy, srebra, kryształy itp. było ukryte w sąsiednich wsiach. Toteż mimo iż od tych wydarzeń upłynęło już nieco czasu, ludność miejscowa widziała w wojsku polskim potencjalnych mścicieli zamordowanego feudała i z dnia na dzień spodziewała się represji i krwawego rozrachunku. A więc ludność miejscowa do żołnierzy i w ogóle do Polaków odnosiła się nieufnie, a nierzadko z jawną nienawiścią, tym bardziej, że częste rekwizycje furażu i żywności, przeprowadzane z bezwzględną brutalnością, nie poprawiały sytuacji. I w tych warunkach mieliśmy przebywać długie tygodnie!

Nie wiem, jak to się stało, żeśmy o tym wszystkim zostali tak szybko poinformowani, ani też kto nam udzielił tych wiadomości. Zawrzało jak w ulu. Decyzję odmawiającą nam natychmiastowej pomocy w dalszej podróży uznaliśmy za nikczemną. Z kolei, dowódcy jednostki wojskowej patrzyli na nas jak na rozhisteryzowane baby, nie orientujące się absolutnie w niczym, nasze żądania uważali za nierealne, wręcz śmieszne.

Pertraktacje te i spory toczyły się pod gołym niebem na niewielkim placu przed stacją kolejową. Był przepyszny wieczór w bogactwie wszystkich barw i światłocieni. Słońce zaszło lecz zorza grała gamą kolorów i było jeszcze zupełnie widno. Wielkie drzewa w złotej jesiennej szacie prawie zakrywały potężnymi konarami mały budynek stacyjny. Na horyzoncie błękitna mgiełka unosiła się nad nieruchomą ścianą boru. Na tle tej monumentalnej dekoracji dziwnie mała i nikła wydawała się grupa ludzi, która w tym czasie toczyła zasadnicze spory i decydowała o swych dalszych losach.

Wojsko reprezentowało dwóch młodziutkich oficerów. Ubrani byli w dziwne mundury koloru szaro-błękitnego, bogate od naramienników, złoceń i akselbantów. Na ramionach epolety srebrne, przypominające kształtem liście palmowe, na piersiach nieliczne, lecz pokaźnych rozmiarów medale. Przy bokach szable kawaleryjskie, okazałe, ze złotymi kutasami. Była to niewątpliwie puścizna po pruskich huzarach lub jakiejś innej gwardyjskiej formacji państw zaborczych. Podoficerowie i żołnierze, którzy w niewielkiej grupie i w pewnym oddaleniu przyglądali się nam lub kręcili się w obrębie stacji i po torach, nie wyróżniali się niczym specjalnym. Umundurowani byli rozmaicie, były tam uniformy rosyjskie, austriackie, a nawet francuskie, gdyż znajdowały się również oddziały uformowane we Francji, tak zwanych hallerczyków. Całość bynajmniej nie wyglądała imponująco, nie przypominała w niczym wyśnionych ułanów księcia Józefa, lecz kojarzyła się uparcie z oglądaną niegdyś na scenie operetką pod tytułem „Manewry Jesienne".

Cywile natomiast stanowili grupę bardziej jednolitą, którą bez przesady można było nazwać bandą dziadów i obszarpańców. Długotrwała i uciążliwa podróż przez „dzikie pola", pełna przygód i niebezpieczeństw, ukształtowała ich w szczególny sposób, a ostatnie dwie doby, zwłaszcza walka z rozpędzonymi wagonami *) dokonały reszty. Były przecież wśród nas kobiety młode i urodziwe, byli piękni mężczyźni, lecz na próżno by ich było szukać wśród tych postaci zalegających wypalone słońcem trawniki, postaci do widm bardziej niż do ludzi podobnych. Inżynier Topolnicki i dwóch jeszcze starszych panów prowadziło w naszym imieniu pertraktacje z oficerami i nie mogło w żaden sposób dojść do porozumienia. Rozmowy przybierały na gwałtowności i przeradzały się w zaciekłe kłótnie, lecz rezultatów żadnych nie dawały. Każda ze stron przemawiała odrębnym językiem.

Najmłodsi obywatele odrodzonego państwa polskiego, oszołomieni faktem, iż rozmawiają z prawdziwymi żołnierzami polskimi, a nie widmami z obrazów Grottgera lub Kossaka, mówili do nich stylem przypominającym nieco „Księgi Pielgrzymstwa" i „Anhellego". Natomiast oficerowie, którzy już zdążyli przywyknąć i do niepodległości, i do orzełków na czapkach, nie mogli zrozumieć tej celebry i odpowiadali językiem zbliżonym do Pana Paska. Po wyrzuceniu z siebie potoku słów i argumentów, obie strony znużone, ale nie przekonane, chwilowo umilkły i zapanowało dłuższe, kłopotliwe milczenie. Tymczasem zbliżała się noc, a sytuacja była wciąż nie wyjaśniona.

Wtedy to do oficerów podszedł trzeci, wysoki, nieco starszy, w jednolitym stroju. Dotychczas z pewnej odległości przysłuchiwał się sporom, teraz odwołał młodszego porucznika na bok i zaczął coś mu klarować i tłumaczyć. Rozmowa się przeciągała, za chwilę dołączył się do nich jeszcze jeden oficer, a po pewnym czasie i nasi pełnomocnicy. A potem... potem zakończyło się wszystko bardzo po polsku. Okazało się mianowicie, że właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby nam udzielić tych kilku głupich wagonów do dalszej podróży, że zadania stojące przed wojskiem i absorbujące tabor kolejowy nie są na tyle ważne, a w każdym razie nie tak pilne, że przecież trzeba pomóc rodakom, którzy po tylu trudach i niebezpieczeństwach przybyli wreszcie na łono Ojczyzny. Okazało się również, że wojskowi mają wśród tych rodaków wielu znajomych, a nawet i krewnych. Toteż gdy już pękły lody, rozpoczęło się wielkie ramion otwieranie, witania, uściski i nie kończące się rozmowy. Ci ludzie, jeszcze przed chwilą bezlitośnie powaśnieni, teraz nie mogli się oderwać od siebie i dość się sobą nacieszyć. Ciemności nocy zakończyły dopiero tę sielankę. Potwornie zmęczony wyciągnąłem się na podłodze wagonu i zasypiając poczułem jeszcze, że pociąg jedzie, że bardzo powoli i bardzo ostrożnie, często się zatrzymując, posuwa się jednak stale naprzód i wiezie nas wszystkich do upragnionego celu. Z tą świadomością zasnąłem.

Obudził mnie gwar rozmów wraz z hałasem gwałtownej krzątaniny wielu osób i przejmujące zimno. Była jeszcze głucha noc. Pociąg stał na małej stacyjce, która się nazywała Hołoby. Z naszych ludzi nikt już nie spał. Starsi biegali po mrocznym peronie, to ginęli w ciemnościach, to wbiegali do maleńkiego budynku — baraku stacyjnego, to znów stamtąd wybiegali i rozpraszali się na różne strony. Ktoś głośno zakomenderował: „Wszyscy wysiadać! Natychmiast opuścić wagony!" Ale rozkazu tego nie słuchano. Zamęt był coraz większy. Nikt nie umiał wytłumaczyć o co chodzi, co się stało. Ludzie dzwonili zębami ze strachu i zimna. Zaczęły już krążyć alarmujące pogłoski o napadzie bandy, odcięciu drogi, zerwaniu mostów itp. W końcu z chaosu pytań, odpowiedzi, urywkowych rozmów i nawoływań jedno słowo zaczęło się wyłaniać w coraz to innej wersji: kwarantanna. Czeka nas kwarantanna, musimy odbyć kwarantannę, wszyscy repatrianci muszą się poddać kwarantannie.

Przyznam, że wówczas na mnie i nie tylko na mnie powiało grozą. Nazwa ta o obcym brzmieniu, w potocznym języku jeszcze wtedy nie używana, uparcie kojarzyła się z Ojcem Zadżumionych, a wspomnienia przeżytej niedawno epidemii hiszpanki nasuwały się z koszmarną wyrazistością. Ojciec mój, który wrócił właśnie ze stacji, dokąd udał się celem zasięgnięcia języka, opowiadał co widział i o czym się dowiedział. Udało mu się obejrzeć baraki przeznaczone dla nas na czas kwarantanny. Coś równie ohydnego i ponurego trudno sobie wyobrazić. Ciemne, zimne i brudne nory. Zamiast łóżek drewniane prycze wymoszczone od tygodni nie zmienianą słomą. Ogrzewanie stanowiły popsute, dymiące żelazne piecyki, a oświetlenie jakieś kaganki i smolne łuczywa, nawet świec i lamp naftowych nie było. Była tam natomiast prymitywna łaźnia parowa, która spełniała jednocześnie funkcję pralni i odwszalni. Wyżywienie załatwiała wojskowa kuchnia polowa, która raz na dzień przywoziła zupę i kaszę. Komendantem całości był wojskowy lekarz, zamieszkały w dość odległym Kowlu, który dojeżdżał dwa razy na tydzień, a w czasie jego nieobecności władza należała do kilku łapiduchów cywilno-wojskowych, brudnych, ordynarnych i przeważnie pijanych.

Wobec powyższego stało się dla wszystkich jasne, że my tej kwarantanny musimy uniknąć. Że wszystkimi możliwymi sposobami należy dążyć, by ominąć tę nową zasadzkę i groźną niespodziankę, jaką nam przygotowała polska władza. Na tej rafie naprawdę można było utonąć. Lecz w obliczu tych nowych powikłań i trudności byliśmy bogatsi o jedno cenne doświadczenie, wywiezione ze Sławuty, że nawet najbardziej bezwzględne i rygorystyczne zarządzenia dadzą się obejść, a ze stróżami porządku na tej ziemi można znaleźć wspólny język i dojść do porozumienia. Toteż gdy nieoczekiwanie, bez ostrzeżeń i sygnałów, pociąg nagle ruszył, powstał popłoch i wielkie zamieszanie, ludzie gonili wagony, wskakiwali w biegu, zwoływali się, krzyczeli, lecz wiedzieliśmy już wszyscy, że się dobrze stało. A gdy po kilkunastu minutach zewsząd nas ogarnęła ciemność, a mdłe światełka stacyjne zaczęły się coraz bardziej oddalać, zrozumieliśmy, że to się na zawsze oddala stacja Hołoby i przygotowana dla nas kwarantanna.

*) *Vide fragment „Powrót" w n-rze 1 „Kameny" z br.*

Zagubiony wiersz Leśmiana

JERZY STARNAWSKI

Autor Łąki i Dziejby leśnej staje się na naszych oczach klasykiem. Krytycy tak wytrawni, jak Julian Przyboś i Kazimierz Wyka, bez wahania głoszą go największym poetą polskim w wieku XX.

Wobec coraz częstszych wypowiedzi pochwalnych pełne poznanie tekstów Leśmiana, pełna monografia jego sztuki poetyckiej staje się coraz bardziej postulatem chwili. Tymczasem do uporządkowania podstawowych spraw związanych z twórczością poety jest jeszcze bardzo daleko. Wydanie paxowskie Poezji Zebranych (1957) przy swych mankamentach ma na pewno trwałą zaletę przypomnienia poety skazywanego w latach poprzednich niesłusznie na całkowitą damnatio memoriae. Leśmiana nieznanego poprzednio przedstawił publiczności literackiej Jacek Trznadel w ambitnym i starannie opracowanym zbiorze „Szkiców krytycznych" poety (1959). Jednakże dramaty Leśmiana nigdy nie drukowane, wędrują w rękopisach podobno na drugiej półkuli; całej puścizny Leśmiana-poety jak i Leśmiana-krytyka nie znamy jeszcze na pewno. W tej sytuacji przypomnienie każdego utworu nie włączonego do zbiorowej edycji z roku 1957 jest potrzebne. Tak się składa że poza edycją pozostały utwory, a przynajmniej jeden utwór — ongiś spopularyzowany, włączony swego czasu do wypisów szkolnych Juliusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego pt. „Mówią wieki", a więc znany młodzieży kształcącej się w latach 1934—1948 w szkołach średnich i na tajnych kompletach okresu okupacji [1]).

Na pytanie jak dojść mogło do tego w wieku XX, że utwór poety nam prawie współczesnego, czytywany w szkołach uszedł uwagi wydawców sporządzających zbiorową edycję, odpowiedź może być łatwa: Balicki i Maykowski bardzo często zamawiali teksty prozaiczne i wierszowane u pisarzy i poetów, a więc wiersz mógł być napisany specjalnie dla wypisów. Mógł być również drukowany w czasopiśmie, a nie włączony do edycji zbiorowej ani przez poetę, ani przez jego pośmiertnych wydawców. Oto tekst wiersza:

DZIWOŻONA

Co sto lat tu zlata ptaszek
Złoty ptaszek, Gregoraszek,
Puka w dąb: niech w dębu szparze
Dziwożona się pokaże!

Stuk, puk! z dziupła wypłoszona
W świat wybiega Dziwożona,
O, już tańczy zwijanego,
Gonionego, wyrwanego.

Leśnej bajce dając wątek
Pośród modrych tańczy łątek,
Gra jej ciepła trzcin muzyka,
O, ucieka już, już znika.

Pobiegnijmy za nią w ślady,
Na wywiady, na wybady,
Zanim dąb się zamknie za nią,
Za tańczącą Złotopanią!

Bo ptak złoty lubi zwlekać,
Więc sto lat będziemy czekać,
Aż drzwi dębu otworzone
Znów pokażą Dziwożonę [1].

Wyjaśnienie zagadkowej proweniencji wiersza, włączenie „Dziwożony" do pełnej edycji Leśmiana — oto zadanie krytyki.

Przy okazji dodać warto inny szczegół. Wiersze rosyjskie Leśmiana były dotąd tylko ogólnie sygnalizowane w pracach o poecie, ale nie wiedziano o nich nic bliżej. Przed kilku tygodniami Marian Pankowski udostępnił czytelnikowi emigracyjnemu w przekładzie poetyckim dwa cykle liczące razem 11 utworów [2]: „Pieśni przemądrej Wasylissy" (tekst rosyjski: „Złote Runo" 1906 nr 11/12) i „Księżycowe upojenie" (tekst rosyjski. „Waga" 1907 nr 10). Wymienione wiersze czekają na tłumaczenie poetyckie w krajowej prasie literackiej.

1) Juliusz Balicki i Stanisław Maykowski: „Mówią wieki" cz. II, Lwów 1934, s. 11.

2) Bolesław Leśmian: Wiersze rosyjskie, przełożył Marian Pankowski. „Wiadomości" (Londyn) R. 15:1960 nr 44 z 30 X s. 1.

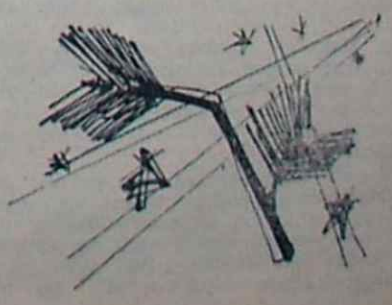

STRUKTURY

Nr 1 (10)

31.I.61

dział ✻ KAMENA ✻ plastyczny

II

JERZY LUDWIŃSKI

Omawiając w poprzednim odcinku twórczość kolorystów, nie wspomniałem o Filipiaku. Sławny niegdyś mistrz znikł jak kamfora; nigdzie nie wystawiał, nie wiadomo było, co robi. Odnalazł się... na Ponigwodzie. „Malarz lubelski Wł. Filipiak — czytamy w jednym z numerów „Kuriera Lubelskiego" — stworzył obraz olejny przedstawiający wieżowiec przy ul. Unickiej. Obraz ten o wymiarach 159×70 cm został zamówiony przez kupców lubelskich, którzy jako prezent noworoczny wręczą go ojcom miasta". Fotografia tego wieżowca byłaby — myślę — zbyt skromnym jak na kupców prezentem. Sam wieżowiec natomiast stoi, a ojcowie miasta pewnie się z niego cieszą, chociaż wręczenie go przekraczało możliwości...

*

Ale to jeszcze nie koniec sprawy wieżowca z ulicy Unickiej. Może się on podobać. Jest nowoczesny, prosty, pewnie funkcjonalny. Wiemy także, że nie jest on żadną rewelacją architektoniczną. Takich wieżowców, a pewnie i lepszych, buduje się dużo na świecie. Ale to jest właśnie niezła architektura.

Otóż w sprawę wieżowca są wmieszani także i inni malarze (nie licząc architektów). Przyjrzyjmy się jednemu z nich: Piet Mondrian. Artysta ten wyjątkowo uważnie obserwował płaską, pociętą kanałami i groblami naturę swego kraju. Malował ją, ale przy tym myślał. Potem do tego stopnia uogólniał swoją wizję, że na płótnie pozostawały tylko szeregi kwadracików, podziały pionowe i poziome, to co w naturze było najistotniejsze. Owe kwadraciki, w których mieścił się obraz prawidłowości świata, uczyniły z Mondriana jednego z głównych prawodawców współczesnej architektury. Jego bezpośrednim uczniem był znakomity architekt Mies van der Rohe. Ale nie o poszczególne koligacje tutaj chodzi. Tacy artyści, jak Mondrian, Doesburg, Arp, Malewicz, Strzemiński, stworzyli współczesny świat przedmiotów od Brasilii i Caracas aż po łyżeczki do sałaty. Są konkretnymi twórcami nowoczesności na równi z architektami i konstruktorami maszyn. Najpierw jednak był Mondrian, po nim dopiero wieżowce w Caracas i Lublinie. Nigdy na odwrót.

A kto kupi ojcom miasta obraz nowego Mondriana, który już teraz widzi wieżowce roku 1970?

*

Na poszukiwanie „lubelskich Mondrianów" wybraliśmy się do CBWA, gdzie odbywa się wystawa okręgowa plastyki. Jest świetna okazja, żeby na gorącym uczynku złapać ów skomplikowany problem integracji sztuki. Plastycy wystawiają bowiem nie tylko (jak zwykle) malarstwo, rzeźbę i grafikę, ale także architekturę wnętrz, meble, ceramikę, tkaniny i różne inne przedmioty użytkowe.

W dwu małych salkach pokazano tradycyjne raczej malarstwo i grafikę: pejzaże, portrety, martwe natury. Żadnych mebli ani architektury tam nie było. Chyba słusznie. Bo co może mieć wspólnego martwa natura z tapczanem. Wprawdzie można ją sobie w mieszkaniu powiesić nad tym tak praktycznym skądinąd meblem, może się nawet przez to zrobi ładniej w pokoju. Ale żadne inne związki między jednym a drugim tworem człowieka na pewno nie zachodzą.

W tych małych salkach jedne rzeczy podobały nam się nieco bardziej (akt Zenona Kononowicza), inne — mniej, jeszcze inne — wcale się nie podobały, niektóre — trzeba by niestety uznać za kicze. Ale to nieważne. Wiadomo, że w każdej konwencji można malować lepiej i gorzej. Zdziwiła mnie natomiast obecność w tym dość tradycyjnym towarzystwie dwóch młodych architektów, którzy nie bez swoistego szwungu malują sobie pejzaże z Kazimierza. Może się mylę, ale wydaje mi się, że z równym pożytkiem dla architektury mogliby sobie zbierać etykietki od zapałek. Znam twórczość architektoniczną Mariana Makarskiego (bardzo dobry projekt teatru wraz z otoczeniem) i mam ochotę zapytać artysty, co mają wspólnego jego widoki fary z prostymi i lekkimi konstrukcjami zaprojektowanych przez niego budynków. Otóż nie przypadkiem brali za pędzel różni znakomici architekci. Le Corbusier w malarstwie być może kształtował swą oszczędną, purystyczną linię i pewnie tam powstawała jego charakterystyczna organizacja przestrzeni. Nie chodzi o to, żeby obrazy były studiami do architektury czy urbanistyki. Po prostu poważniej wygląda, gdy architekt i plastyk w jednej osobie robi rzeczy przesiąknięte jednym dla obydwu dziedzin sposobem myślenia. Wtedy widać, że o coś ważnego mu chodzi. A poza tym każdy ma prawo do hobby.

*

W dużej sali zgromadzono całą resztę lubelskiej produkcji plastycznej: lampy, tapczany, biblioteki, talerze, plakaty, etykietki do butelek. Malarstwo jest tu za to abstrakcyjne. I chyba słusznie. Autor ekspozycji (bardzo dobrej), Włodzimierz Borowski chciał na pewno pokazać źródło współczesnej architektury i sztuki użytkowej tkwiące w różnych odmianach plastyki nieprzedstawiającej. Kuźnią nowych form to ta wystawa nie jest, ale kilka ładnych rzeczy można było tu obejrzeć. Wydaje mi się, że dobrze by było, gdyby zobaczyli ją ludzie reprezentujący nasz przemysł. Może po uzgodnieniu drobnych poprawek technicznych dałoby się niektóre rzeczy produkować? A gdyby tak urządzić spotkanie z przedstawicielami lubelskiego przemysłu i handlu? Mam na myśli także inwestorów przyszłych kawiarni, sklepów i innych obiektów użyteczności publicznej. Niech przyjdą, niech zobaczą, jak trzeba (i jak nie należy) projektować wnętrza. Może wtedy rzadziej się będą zdarzały tak tandetne realizacje, jak reprezentacyjna kawiarnia Lublina, „Czarcia Łapa".

Na szczęście niektóre projekty architektoniczne (te najlepsze) zostały już zrealizowane, albo są w stadium realizacji. Mam na myśli prace Przemysława Zwolińskiego (sklep „Len polski"), Eugeniusza Kwerki (to jest wnętrze własnego mieszkania, chyba autor będzie miał wyjątkowe trudności z jego realizacją, z Domem Kultury w Bełżycach powinno pójść łatwiej), przede wszystkim zaś Jerzego Durakiewicza (jego sklep preselekcyjny „Feniks" na ulicy Wieniawskiej uważam za najprostsze i najbardziej funkcjonalne, a zatem najlepsze wnętrze, jakie do tej pory wykonano w Lublinie).

Osobna sprawa to dworzec kolejowy Barbary i Lucjana Wengorków, reprezentowany na wystawie kolorowymi fotografiami. Ta monumentalna realizacja może się nie podobać, można jej stawiać zarzuty, że nie pasuje do (ohydnej zresztą) architektury typowego dworca z czasów carskich (a po co by miała do niej pasować?), można psioczyć na złe wykonanie (nie z winy projektantów). Pozostanie ona jednak „słupem milowym" w historii lubelskich wnętrz. Ile odwagi wymagał ten dworzec zarówno ze strony obojga plastyków, jak i kolejarzy — zleceniodawców. A poza tym jaka świetna popularyzacja sztuki nowoczesnej wśród tysięcy pasażerów, z których zdecydowaną większość stanowią robotnicy i chłopi. Słyszałem rozmowy; ludzie którzy podobne obrazy skondensowane do małego prostokąta w ramach na pewno by wyśmiali, tutaj wyrażają swój zachwyt. Może, gdy niebacznie wstąpią na wystawę współczesnego malarstwa, przypomną sobie dworzec kolejowy.

Pocieszające jest to, że wszyscy wymienieni przeze mnie „wnętrzarze" to ludzie młodzi. Będą mieli dość czasu, by — tak z grubsza przynajmniej — zmienić oblicze Lublina. Jak dotąd bo-

(Dokończenie na str. 6)

ANKIETA

W związku z ogólnym dążeniem do ściślejszego związania plastyki z życiem zwracamy się do czytelników z następującymi pytaniami:

1. Co sądzi Pan(i) o wyglądzie miasta Lublina kształtowanym przez architekturę i plastykę (ulice, budynki, sklepy, kawiarnie, neony itp.)?
2. Które realizacje są najbardziej udane, a które najmniej?
3. Czy wpływ plastyki na kształtowanie miasta jest dostateczny i jakie czynniki go hamują?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać pod adresem redakcji „Kameny", ul. Graniczna 1c.

Architektura radziecka

Makieta Pałacu Rad w Moskwie wystawiona w Centralnym Domu Architekta na wystawie prac zorganizowanego w 1959 roku zamkniętego konkursu na projekt Pałacu Rad. Budowla o kubaturze 579,6 tys. m³ i o powierzchni zabudowy 73,4 tys. m² jest dziełem ośmioosobowego zespołu architektów, którzy podobnie, jak autorzy innych prac konkursowych starali się połączyć w niej majestatyczność ze szlachetną prostotą i surowością form.

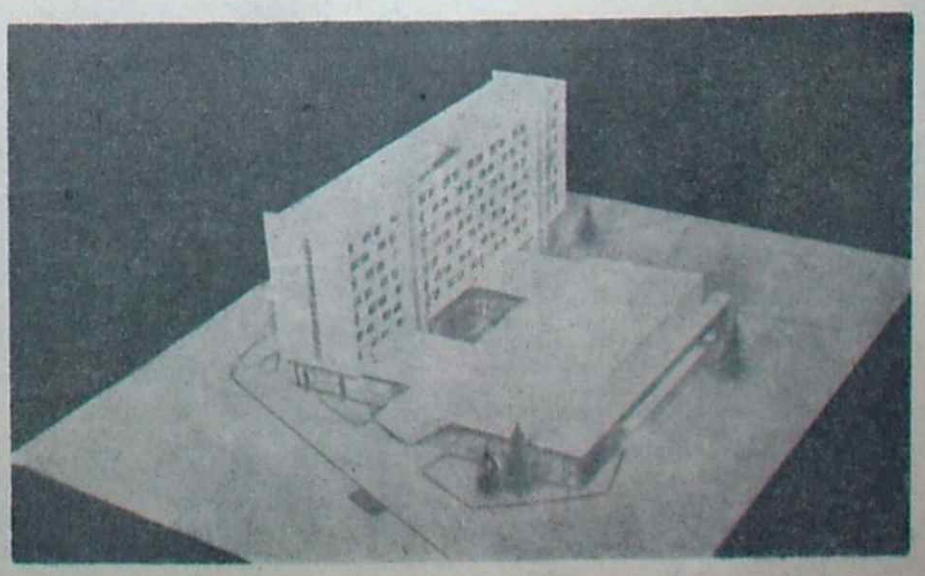

Międzynarodowy Ośrodek Turystyczny na Łużnikach w Moskwie. Siedmiopiętrowy hotel na 465 miejsc — główny korpus osiedla. Na parterze restauracja na 200 miejsc, na piętrach 217 jednopokojowych numerów dwu i trzy miejscowych. Realizację kolektywnego projektu rozpoczęto w 1960 r.

NOWE FORMY W ARCHITEKTURZE RADZIECKIEJ

STANISŁAW MICHALCZUK

Rok 1960 w projektach i realizowanych pracach architektów radzieckich minął pod znakiem: nowoczesność w architekturze współczesnej.

Po Ogólnozwiązkowej Naradzie Budowniczych oraz uchwale KC KPZR i Rady Ministrów ZSRR z dnia 4 listopada 1959 r. „O usunięciu zbytku w projektowaniu i budownictwie", funkcjonalność architektury połączona z nowatorstwem konstrukcji, przy ekonomice budowy i eksploatacji, stała się niemal powszechnie przyjmowaną zasadą.

Praktyczność i wartości użytkowe dyktują sposób związania małych i olbrzymich zespołów urbanistycznych z warunkami terenu (np. miasto satelita pod Leningradem o swobodnym układzie przestrzennym), warunkują architektoniczne opracowanie budowli o charakterze użyteczności publicznej lub rozwiązania plastyczne elewacji domu mieszkalnego.

Powstają nowe śmiałe układy zabudowy, nowe typy budynków, ciekawe doświadczalne alternatywy rozwiązań wnętrz mieszkalnych.

Zmianom formalnym towarzyszy dążność do podwyższenia jakości i standardu przez postęp techniczny, stosowanie nowych materiałów (płyty azbestowo-cementowe, gazobeton, szkło) i nowych technik wykonawstwa (elementy prefabrykowane).

Oto kilka przykładów nowoczesnych rozwiązań architektonicznych omawianych w ostatnich numerach radzieckiego miesięcznika „Stroitielstwo i Architiektura Moskwy".

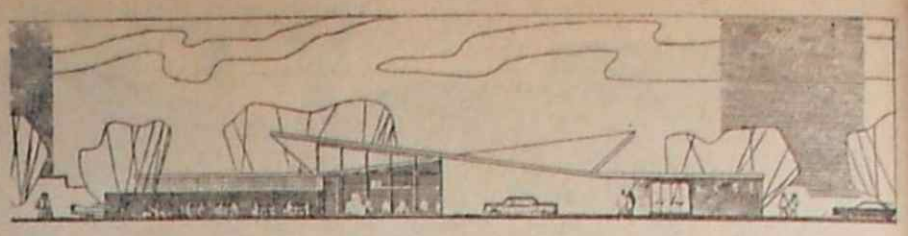

Typowa kawiarnia dwustronna przeznaczona dla terenów parkowych. Projekt arch. I. Winogradskiego.

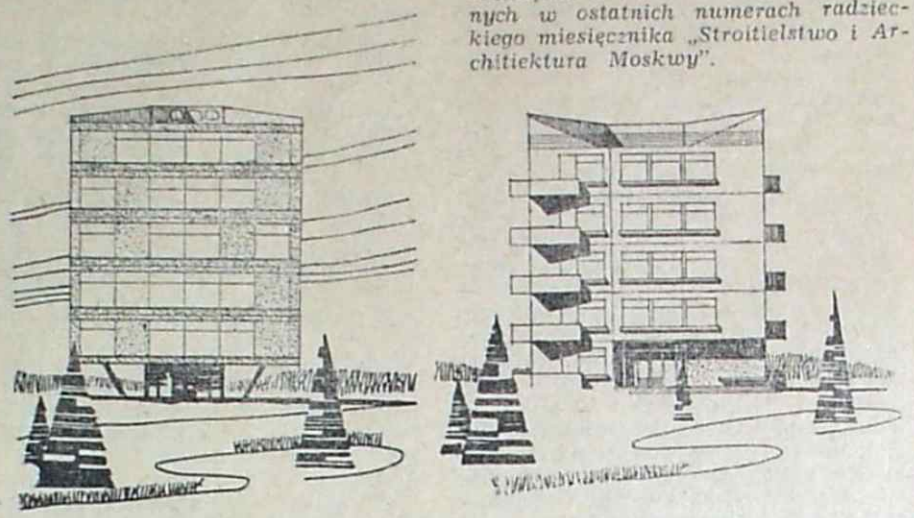

Elewacje pięciokondygnacyjnych bloków mieszkalnych. Projekty ilustrujące artykuł W. Łagutenki: „O możliwościach stworzenia nowej konstrukcyjnej zasady współczesnego domu".

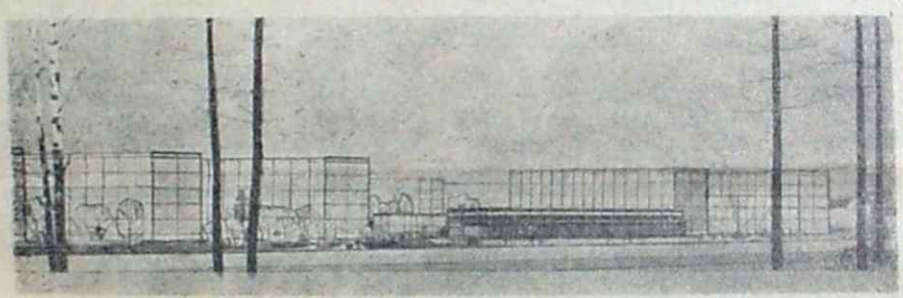

Nowoczesne rozwiązanie ośrodka handlowego w dzielnicy mieszkaniowej. Projekt jednopiętrowego pawilonu sklepowego w otoczeniu pięciokondygnacyjnych bloków wykonany przez zespół architektów Instytutu „Mosprojekt".

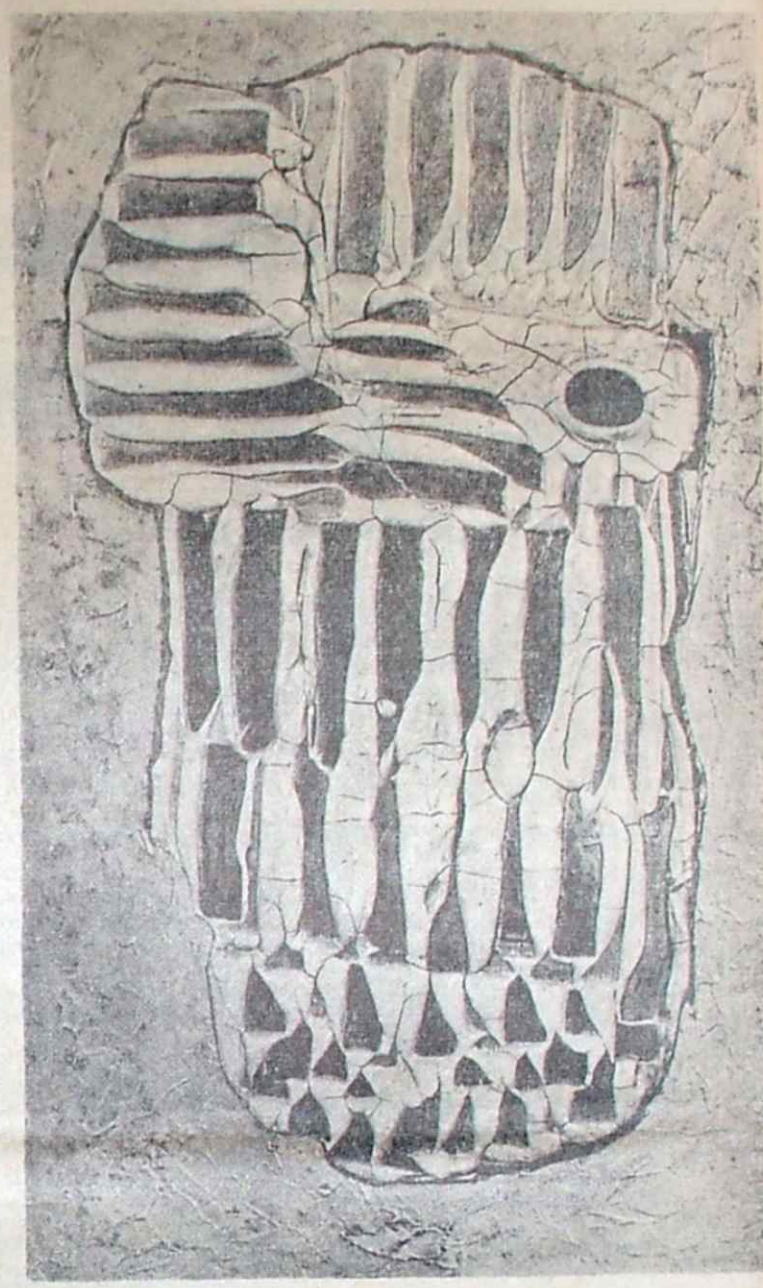

Jan Ziemski — „Forma", technika mieszana, 1960

II

(Dokończenie ze str. 5)

wiem wiek XX nie zdążył się jeszcze zmieszać z innymi, tak ładnie tutaj nałożonymi na siebie, epokami.

*

Można by jeszcze wymienić kilka ładnych rzeczy z tej wystawy: lampę Borowskiego, lampę Kursy, tkaniny Ziemskiego, ceramikę Wengorków, biblioteczkę Pola, biżuterię Szydłowskiej. Kto ma dobry gust, niech kupuje.

Są jeszcze plakaty Pola i Kurzątkowskiego, etykietki Nadulskiego.

Wszystkie te rzeczy posiadają swoją określoną funkcję użytkową. Chociaż bywa i tak, że talerze wiesza się na ścianach. Tkaniny natomiast wiesza się tam na ogół. Ściana przestała być domeną obrazów. Te ostatnie umieszcza się często na wystawach poziomo na podłodze. Jest to tylko pozorne pomieszanie funkcji i pojęć, które w sztuce istniało zawsze. Wiek XX jednakże przyniósł inną, bardzo istotną zmianę. Jest nią zatarcie granic między poszczególnymi technikami i materiałami, którymi do tej pory operowano szytwno według ściśle określonych zasad. Więcej jeszcze: przestały istnieć granice pomiędzy różnymi rodzajami sztuki. Coraz trudniej jest odróżnić rzeźbę od malarstwa, sztukę czystą od użytkowej.

Ci w małych salkach CBWA pozostali wierni malarstwu lub grafice. Ktoś, kto by stamtąd przeszedł do architektury czy jakiejkolwiek sztuki użytkowej, to prawie tak, jak by obrał sobie dodatkowy, dość odległy od własnych zainteresowań, zawód. Może w tej sprzeczności tkwi źródło owych niefortunnych wnętrz, gdzie zamiast organizować przestrzeń zdobi się każdą ścianę osobno. Coś z tego zachowało się w modnym obecnie malowaniu mieszkań: każda ściana w innym kolorze. Ma to być podobno nowoczesne, jest zaś niezrozumieniem istoty nowoczesności.

Malarstwo w dużej sali przybiera bardzo różne formy. Czasem są to po prostu przedmioty o nieokreślonej funkcji. Nie lekceważmy ich, nawet gdyby wydały się nam nieco dziwaczne. Mogą one być świetną szkołą myślenia plastycznego, choć nie sugerują takiego ograniczenia ich roli.

Najciekawsze tego rodzaju obrazy — przedmioty robi tutaj — moim zdaniem — Lucjan Wengorek. Technika tych obiektów przypomina trochę mozaikę. Krystaliczna materia z dziwnych kolorowych szkiełek trzyma się nierówno połupanych desek jak w wielkich rozmiarów broszce. Farba olejna okazała się tu zbyteczna. Barbara Wengorek pokazała dla odmiany dwa wielkie kawałki papy, których piaskowa faktura pociągnięta została rytmicznymi plamami koloru. Krzysztof Kurzątkowski demonstruje collage z kawałków gazet. Eugeniusz Kwerko do faktur przypominających podrapany mur przylepia stare cyferblaty od zegarków i inne przedziwne rzeczy. Coś z tego wszystkiego znalazło się w realizacjach architektonicznych, w ceramice, w plakatach i okładkach książkowych. Czasem był to tylko powierzchowny nalot elementów raczej przypadkowych, zdarza się jednak, że związki obydwu dziedzin sztuki zaczynają się głębiej — przynajmniej od dobrego zrozumienia tego, co się w sztuce chce powiedzieć.

Wartościom czysto malarskim zaufał w pełni jeden tylko Andrzej Kołodziejek. Jego obrazy nie są abstrakcyjne, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Są to pejzaże i martwe natury. Artysta osiągnął w nich tak wielki stopień wysubtelnienia materii, że dalej już pójść nie można. Jeszcze jeden wariant koloryzmu doprowadzony podobnie jak u Potworowskiego do granic możliwości rasowego malarza. A gdzieś poza zielenią drzew dzieją się rzeczy, których nie można już po prostu namalować. Nawet gdyby się było nie wiem jak rasowym malarzem. Różnice między naturą starą, tą zastaną, a nową, tą którą chcemy tworzyć, wymagają narządów bardziej doskonałych niż oko. Może należą one do gatunku sejsmografów, precyzyjnie notujących drgnienia czasu, w którym żyjemy. Plastycznym ekwiwalentem tych drgnień byłaby wizja świata, który nastąpi. Może tak zaszyfrowana, jak swego czasu u Mondriana, może inaczej.

Nowego Mondriana nie znaleźliśmy. Za to kilku było uczniów starego Mondriana. To i tak daje powody do radości.

*

Pod koniec wernisażu zaczęto podobno podejrzewać, że niektóre obrazy zostały powieszone do góry nogami, aby przez to stały się abstrakcyjne. Jan Ziemski, który był do końca, opowiadał mi, że niektórzy usiłowali wtedy stanąć na głowie. Mimo wielu wysiłków nikogo nie zdemaskowano: żaden z tych obrazów nie okazał się realistyczny.

Jerzy Ludwiński

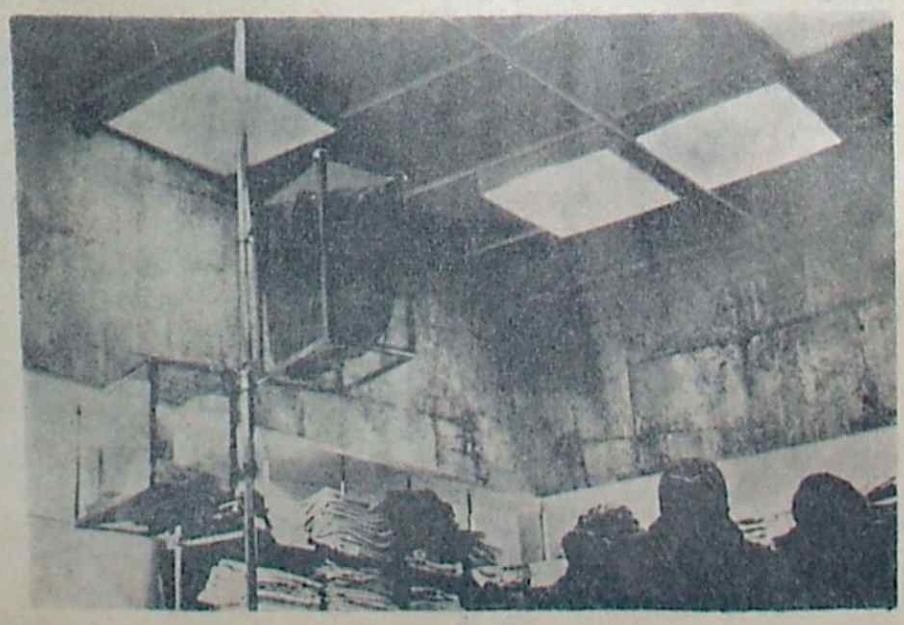

Jerzy Durakiewicz — Fragment wnętrza sklepu „Feniks"

POLSKA RZEŹBA NOWOCZESNA

ZJAWISKA NAJWAŻNIEJSZE

WIESŁAW BOROWSKI

RZEŹBA nowoczesna dzięki uwolnieniu się od tak uciążliwych ograniczeń, determinujących postawę artystów szeregu poprzednich pokoleń — jak kształt i wielkość budulca, wyznaczone miejsce w architekturze lub pejzażu, niewolniczy stosunek do tematów i przedmiotów natury — rozpoczęła swój rozwój właśnie w chwili, gdy artyści naszego wieku skoncentrowali swoją uwagę na podstawowych problemach rzeźby, jako plastyki trójwymiarowej: konstrukcji formy, relacjach między rzeźbą a przestrzenią i wreszcie — w latach ostatnich — na problemie budowy rzeźby wobec nowego pojmowania materii i przestrzeni.

Rzeźbiarze polscy tylko w nielicznych wyjątkach uczestniczyli w tym twórczym rozwijaniu praw rządzących rozwojem rzeźby ostatniego półwiecza. Poniższy przegląd rzeźby polskiej poświęcony jest właśnie tym wyjątkom — twórczości artystów, których twórcza działalność i dziś nie obawia się przypomnienia.

U progu XX wieku znakomity rzeźbiarz Xawery Dunikowski — który dziś, licząc osiemdziesiąt dwa lata, tworzy ciekawe prace z zakresu plastyki monumentalnej — wykonał szereg kompozycji rzeźbiarskich zapowiadających odrodzenie rzeźby europejskiej. Chodzi tu przede wszystkim o takie dzieła, jak „Tchnienie" (1901), „Fatum" (1901), oraz cykl „Kobiety brzemienne" (od 1906). Jeżeli pominiemy pewien symboliczny patos tych dzieł, z których każde jest swego rodzaju rzeźbionym traktatem filozoficznym, i zwrócimy uwagę na ich konstrukcję formalną — zastanowić musi niezwykła w tych latach synteza kształtu plastycznego, niekiedy — bliska kubizmowi zasada komponowania płaszczyzn geometrycznych.

Wydaje się, że Dunikowski w tych wczesnych kompozycjach zasygnalizował —na kilka lat przed Brancusim, którego zasługi dla stworzenia podstaw rzeźby nowoczesnej pozostają oczywiście najważniejsze — zdecydowanie nowe momenty w rozwoju rzeźby. Pierwszy podważył, panującą wówczas powszechnie w plastyce, zasadę naśladowania natury, pierwszy zerwał z tendencją rzeźby impresjonistycznej i psychologicznej, aby przemawiać podstawowym językiem rzeźby: trójwymiarową formą komponowaną w przestrzeni.

* * *

Poza twórczością Dunikowskiego rzeźba polska tego czasu pogrążona była w tradycjonalizmie i dopiero tuż przed rokiem 20-tym nastąpiło pewne ożywienie wraz z pojawieniem się pierwszych awangardowych ugrupowań plastycznych.

Artyści związani z ruchem „Formistów" (1917—1921) August Zamoyski i Zbigniew Pronaszko tworzyli w latach swej młodości figuralne kompozycje nawiązujące do tradycji ludowej rzeźby drewnianej, a równocześnie pokrewne niekiedy kubizmowi i ekspresjonizmowi. Pomimo figuratywności tych rzeźb artystom tym chodziło przede wszystkim o zagadnienia formalne, o „logiczne wypełnianie formami przestrzeni".

* * *

Jednak dopiero w latach dwudziestych narodził się w Polsce radykalny program rzeźby nowoczesnej abstrakcyjnej reprezentowany przez KATARZYNĘ KOBRO — żonę WŁADYSŁAWA STRZEMIŃSKIEGO. Artystka, eksperymentując początkowo w dziedzinie rzeźby typu suprematycznego, stworzyła wreszcie — wraz ze Strzemińskim — nową koncepcję rzeźby abstrakcyjnej, która była odpowiednikiem unizmu malarskiego. Unistyczne rzeźby Kobro skonstruowane były z kolorystycznych płaszczyzn z blachy, zestawionych ze sobą pod kątem prostym w oparciu o zasadę „bezdynamicznej" równowagi poszczególnych elementów i pełnego powiązania kompozycji z przestrzenią.

Rewelacyjna teoria rzeźby unistycznej zawarta została w książce Kobro i Strzemińskiego „Kompozycja przestrzeni. Obliczenia rytmu czasoprzestrzennego" (1931). Autorzy przeprowadzają precyzyjną analizę dotychczasowych zdobyczy rzeźby w znaczeniu jej łączności z przestrzenią — od baroku do futuryzmu i suprematyzmu. Wychodzą bowiem z założenia, że podstawowym zagadnieniem w rzeźbie jest stosunek przestrzeni zawartej w rzeźbie do przestrzeni znajdującej się poza rzeźbą.

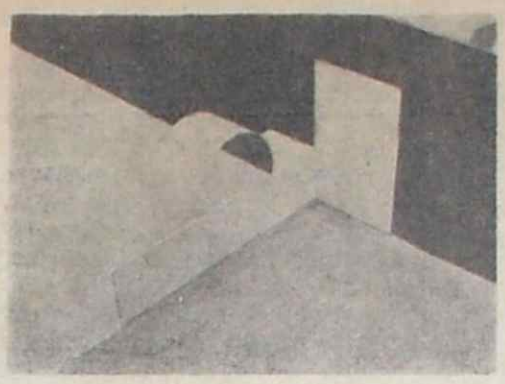

Katarzyna Kobro — Rzeźba przestrzenna

Podstawowym prawem rzeźby jest dążenie do całkowitego zniszczenia bryły i jedności rzeźby z przestrzenią, ponieważ „przestrzeń jest wszędzie jednolita i nierozerwalna i nie mamy odpowiednich podstaw aby część przestrzeni izolować od reszty przestrzeni", i ponieważ „rzeźba będąca kształtem przestrzennym nie posiada z góry określonej granicy oddzielającej jej własną przestrzeń od przestrzeni zewnętrznej".

Autorzy twierdząc następnie, że stanem naturalnym przestrzeni w jej granicach nieskończonych jest równowaga stała, wykazują, że sposób nawiązania kontaktu rzeźby z przestrzenią za pomocą kształtów dynamicznych jest zawodny, ponieważ doprowadza do naruszenia równomierności przestrzeni poprzez: 1. odśrodkową grawitację kształtów ku przestrzeni — w systemie barokowym. 2. kształt wytrącony z równowagi — w suprematyzmie — który siły dynamiczne swego lotu usiłuje wykorzystać dla zespolenia z przestrzenią.

Tak więc — według Katarzyny Kobro — pełne zespolenie z przestrzenią może osiągnąć tylko taka rzeźba, której budowa jest bezośrodkowa i równomierna.

W rzeźbie unistycznej każdy kształt ustawiony jest według systemu trzech głównych kierunków biegnących w stosunku do siebie pod kątem prostym. Ponieważ **każdą linię prostą** możemy przedłużyć w nieskończoność, można się zapatrywać na kształt w rzeźbie nie jako na coś, co zajmuje pewną ograniczoną część przestrzeni, lecz jako na materializowany wynik przecinania się linii idących z nieskończoności przestrzeni.

Kształty w rzeźbach Kobro wykonanych z niegrubej blachy lub desek siłą rzeczy zajmować muszą pewną przestrzeń, gdyż zakreślają swymi wymiarami pewną ograniczoną jej część. Aby jednak całkowicie wyeliminować bryłę i doprowadzić konsekwentnie rzeźbę do czystych podziałów przestrzennych, autorka kompozycji unistycznych pokrywa płaszczyzny rzeźb kolorami według ściśle opracowanego systemu barw. Kobro twierdzi, że „kolor dematerializuje rzeźbę", że z ciała materialnego staje się ona wynikiem stosunków często przestrzennych.

Tak więc autorzy teorii rzeźby unistycznej dochodzą w końcu do sedna swej koncepcji charakteryzując rzeźbę jako dzieło, które nie jest kompozycją samą dla siebie, lecz kompozycją przestrzeni.

W wyniku pojmowania rzeźby jako kompozycji ustosunkowującej się do przestrzeni totalnej, rysuje się jasno różnica między rzeźbą unistyczną a obrazem unistycznym, który ograniczony był do prostokątnej płaszczyzny płótna. Z rzeźbą związany jest ściśle element czasu, całkowicie wyeliminowany w unistycznych obrazach Strzemińskiego. Pojawia się pojęcie czasoprzestrzenności, jako konsekwencji wprowadzenia do dzieła sztuki trzeciego wymiaru. Definicja czasoprzestrzenności według Kobro i Strzemińskiego brzmi: zmienność dzieła sztuki przy oglądaniu go z rozmaitych stron. Wydawać by się mogło, że czasoprzestrzenność nie jest niczym nowym na terenie rzeźby, skoro od czasów Rodina jednym z najważniejszych zabiegów rzeźbiarza stało się takie modelowanie rzeźby, aby nie został pominięty żaden jej wygląd przy obchodzeniu jej z rozmaitych stron. Jednak ambitne zamierzenia Kobro sięgały znacznie dalej: chodziło jej nie tylko o horyzontalne perspektywy widzenia rzeźby przy obchodzeniu jej dookoła, lecz o jej wyglądy ze wszystkich możliwych kierunków przestrzennych, a przede wszystkim chodziło jej o zupełnie ścisłe i możliwie obiektywne określenie funkcji dzieła trójwymiarowego.

W związku z konkretnym aktem budowy kompozycji przestrzennej, Kobro za punkt wyjścia uznała obliczenie rytmu czasoprzestrzennego. Źródłem harmonii rytmu jest miara wynikająca z liczby. Strzemiński i Kobro przedstawili najważniejsze reguły dotyczące obliczania rytmu czasoprzestrzennego. Podstawą jest dowolny, lecz stały dla danego dzieła sztuki wymiar, tak że wszystkie wymiary dzieła sztuki są podzielne przez ten wymiar podstawowy.

Istotnym celem eksperymentów nad unistyczną kompozycją przestrzenną było znalezienie obiektywnych praw budowy rzeźby, a w konsekwencji operowanie tymi prawami przede wszystkim w architekturze, ponieważ „architektura organizuje rytm ruchów człowieka w przestrzeni, stąd jej charakter kompozycji przestrzeni".

Czy Katarzyna Kobro znalazła owe ścisłe zasady umożliwiające stworzenie doskonałej kompozycji przestrzennej? Czy nie prowadziła swych poszukiwań w zbyt jeszcze wąskich granicach? Czy przy ówczesnym stanie nauki i odmiennym niż dziś rozumieniu liczby znalezienie reguły ostatecznej było możliwe? Można mieć różne wątpliwości. Ale jedno jest pewne: Kobro nie zawahała się sprecyzować swej koncepcji rzeźby w sposób zwarty i zdecydowany. To była niewątpliwie doktryna, ale jedna z tych doktryn, które — nie będąc dziś do przyjęcia w postaci obowiązującej recepty — stanowią konstruktywne przyjęcia w postaci obowiązującej rewpełni świadomego procesu tworzenia dzieła sztuki.

Trudno w tym artykule przedstawić wszystkie konsekwencje, jakie z teorii unizmu rzeźbiarskiego płynąć mogą dla rzeźby w naszych latach. Mogłyby one być zdumiewające, zwłaszcza dla teorii rzeźby współczesnej, cóż jednak, skoro teoria kompozycji przestrzeni Kobro i Strzemińskiego jest nieomal nie znana na świecie i w kraju, a w wielu wypadkach traktowana jest jako osobliwość lub herezja.

* * *

Poza twórczością Kobro, na terenie rzeźby polskiej okresu przedwojennego, uwagę zwracać mogły już tylko nieliczne i nie tak zresztą doniosłe zjawiska. Jednak twórczość Marii Jaremy i Henryka Wicińskiego ratuje honor polskiej rzeźby tego okresu, kiedy przytłaczająca była dominacja rzeźbiarzy tradycyjnych, „twórców dętych pomników, wizerunków panów w wieku emeryckim" i kamiennych posągów zasłużonych ludzi. Kompozycje Marii Jaremy zbudowane z melodyjnych, rytmicznych form przestrzennych i poetyckie konstrukcje Wicińskiego bliskie kubizmowi i surrealizmowi — to były rzeczywiste poszukiwania w zakresie form przestrzennych, to była według słów Wicińskiego „rzeźba wzroku, a nie wspomnień minionej chwały czy wspomnień życia".

Xawery Dunikowski — „Tchnienie", 1901

Alina Ślesińska — „Propozycja architektoniczna", 1960

„Kowalski nie goni za modą, za łatwymi efektami, on konsekwentnie kroczy swoją własną drogą". Ileż razy czytałem podobne recenzje. I zawsze było tak samo. Szedłem na wystawę, gdzie się najczęściej okazywało, że owa własna droga to zwykła (często bardzo banalna) polna dróżka z brzózką albo innym okazem rodzimej flory. Albo rodzimej fauny — wtedy zamiast brzózki występował koń. Albo niezupełnie rodzimej flory czy fauny — wówczas obraz bywał zatytułowany „Paryż — widok z mostu".

Zawsze na takich wystawach odnosiłem wrażenie, że cała impreza określana szumnie mianem realizmu tyle ma z tym pojęciem wspólnego, co portret pradziadka z herbem w rogu obrazu, wiszący na honorowym miejscu w pokoju mojego znajomego.

Na pewno jednak realistą najczystszej wody był zarówno „koniarz" Piotr Michałowski, jak i bracia Gierymscy, którym zdarzały się nie tylko konie, ale i brzózki. O tych artystach nie pisało się jednak, że kroczą swoją własną drogą. Właśnie pogoń za modą im zarzucano. Byli oni wśród setek współczesnych sobie akademików zjawiskami wyjątkowymi.

Józef Abramowicz — „Konie", akwarela, 1960

*

Refleksje, jakie mnie przed chwilą ogarnęły, powstały wskutek zwiedzania przeze mnie w CBWA wystawy Józefa Abramowicza, choć nie dotyczyły jej bezpośrednio, miały wbrew pozorom charakter ogólny.

Otóż Abramowicz maluje i rysuje pejzaże, martwe natury, portrety, przede wszystkim jednak konie. Robi

Zbigniew Podciechowski — „Pilifony", nitroserigrafia, 1960

to bardzo poprawnie, powiedziałbym nawet, dobrze. W konwencji, którą uprawia, nic nie można mu zarzucić. Umiejętnie operuje skrótami rysunkowymi, choć nie przejawia tendencji do linearyzmu nawet wtedy, gdy maluje akwarelą (tak sugerował ze znawstwem przedmiotu anonimowy recenzent, przed którym chciałbym jednak ostrzec redakcję „Sztandaru Ludu"). Wprost przeciwnie: artysta przejawia temperament raczej malarski mieszczący się w tradycji Michałowskiego, może także Stanisławskiego. Ale to nie wyczerpuje genealogii: technika budowania obrazu ma swe źródło w polskim koloryzmie. Tylko, że Abramowicz woli kolor zgaszony, zmierzający ku popielatym szarościom. Trzeba przyznać, że obrazy jego są dyskretne i może przez to kulturalne. Należy jednak dodać, że tego rodzaju sztuki spotyka się dużo prawie na każdej z wystaw okręgowych. Jest to postawa malarska tak rozpowszechniona, że tylko z trudem można odróżnić autorów.

Malarstwo to jest jednak pożyteczne: niezła sztuka tego gatunku może bardzo skutecznie konkurować ze szmirą.

*

Jednocześnie z obrazami Abramowicza zaprezentowano w CBWA grafikę Zbigniewa Podciechowskiego. Z jednej strony mamy tutaj ekspresyjne wizje obozów koncentracyjnych (cykl „Wojna"), z drugiej prace, które można by poniekąd zaliczyć do grafiki bezprzedmiotowej. Wystawienie trzeciego cyklu, przedstawiającego zabytki Kalisza i Lublina, uważam za nieporozumienie, te akademickie studia architektury nic nie mówią o autorze, można je uznać najwyżej za próby zastosowania nowych technik (nitroserigrafia), którymi zresztą Podciechowski operuje nie bez pewnej wirtuozerii.

W przeciwieństwie do wystawy sąsiedniej Podciechowskiemu nie można zarzucić braku pasji zarówno w poszukiwaniu nowych treści, jak i w zaangażowaniu się w słuszne sprawy. Mroczny świat krematoriów, egzekucji, wyludnionych miast znalazł tu swe ponure, bardzo przekonywające odzwierciedlenie. Cykl ten jest, moim zdaniem, najlepszy z całego pokazu tego artysty. Jego ekspresja najwyraźniej zaciążyła nad resztą prac, tą którą można zaliczyć do sztuki bezprzedmiotowej. Tylko wtedy oczywiście, gdy będziemy taki podział forsować za wszelką cenę. Są to bowiem w dalszym ciągu mniej lub bardziej koszmarne wizje rzeczywistości, która jeśli nawet nie istnieje realnie na ziemi, mogłaby z powodzeniem urealnić się gdzieś w kosmosie; dziwne stwory, które artysta tak śmiesznie nazywa „Pilifonami", mają przecież

III

kształty do pewnego stopnia antropomorficzne, jeden ze środkowych „pilifonów" trochę nawet przypomina Wenus z Milo. Otóż takich i znacznie jeszcze bardziej realnych Wener można pod mikroskopem podpatrzeć dowolną ilość. „Pilifony" nie wyczerpują pomysłowości Podciechowskiego w tworzeniu nowych pejzaży. Tak, to nie jest abstrakcja, tylko nowa natura, którą artysta kształtuje mniej lub bardziej ekspresyjnie, pewnie w zależności od własnych wewnętrznych nastrojów, a także od przedziwnych figlików nitroserigrafii.

*

Z wystaw, które niedawno odbyły się w Lublinie, chciałbym wymienić jeszcze jedną. Był to pokaz najmłodszej generacji plastyków lubelskich, takich, którzy nie należą jeszcze do ZPAP, a trudno ich już zaliczyć do amatorów. Pokaz ten zainaugurował działalność wystawową klubu „Zamek" (przy Lubelskim Domu Kultury). Brały w nim udział głównie dwie grupy młodych artystów: „Dom" (skupiająca się wokół pracowni na Zamku) i „Inops" (studenci w większości historii sztuki).

„Dom" reprezentowany był na wystawie przez Jerzego Moszyńskiego, Leopolda Sarneckiego i Ryszarda Tkaczyka. Trójce tej patronował (miejscami dość wyraźnie) duch wielkiego Paula Klee, niezmiernie pociągała ich także wielka przygoda malarska, choć nie bardzo można się było zorientować jaka. W dość chaotycznych poszukiwaniach najwięcej było abstrakcji bezforemnej. Zdarzały się tu obrazki

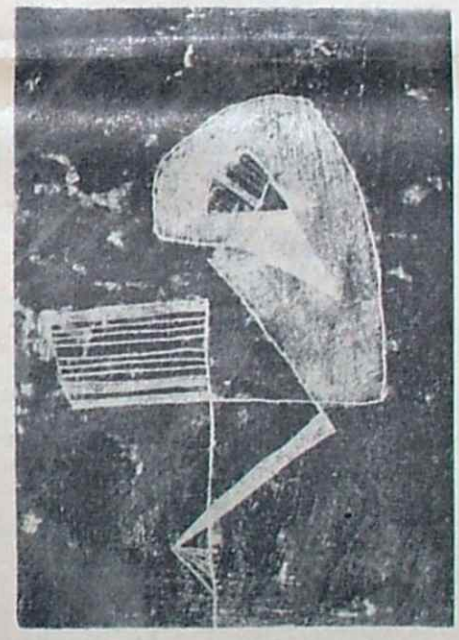

Józef Wzorek — Kompozycja z ptaszkiem, monotypia, 1960

bardzo ładne, świadczące o dużej wrażliwości ich autorów (szczególnie Moszyńskiego), z jakąkolwiek sensowną oceną tej trójki należy jednak poczekać do następnej wystawy, gdy „Dom" chociaż troszkę się umebluje.

Grupa „Inops" jest bardziej znana. Od przeszło roku bombarduje publiczność lubelską coraz to nowymi wystąpieniami. O pierwszych wystawach (w klubie „Paxu" i na KUL-u) pisaliśmy już dawno w „Strukturach". Potem otwarto pokaz grupy w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej, po czym przyszła kolej na gmach Wojewódzkiego Ośrodka Propagandy Partyjnej. I nim publiczność zdołała obejrzeć już nowe prace zawisły tym razem na KUL-u. Po zgromadzeniu tak pikantnej kolekcji „salonów" wystawowych gościł „Inops" w klubie „Zamek" w następującym składzie: Mala Kaczmarek, Ryszard Rudaś, Antoni Spyra, Ryszard Kieraciński, Zbigniew Strzałkowski i Józef Wzorek. I tutaj trudno mówić o jakimś skrystalizowanym obliczu twórczym. „Inops" jest grupą chyba tylko towarzysko ze sobą związaną, bo w malarstwie każdy robi co innego. Poważnie można na razie mówić o trzech jako tako ukształtowanych artystach. Są nimi obaj graficy: Strzałkowski i Wzorek oraz malarz Kieraciński. Prace pierwszego z nich mają w sobie coś z żeber gotyckich, ale również coś z rozkawałkowanego systemu kostnego człowieka jak w mocno zniekształconym Roentgenie. Jest tu na pewno i dość konsekwentna organizacja przestrzeni i ekspresja poszarpanych strzępów materii. Wzorek jest za to bardziej liryczny; łączy ze sobą skrajnie różne formy: czysto malarskie z linearnymi, całkowicie przedmiotowe z abstrakcyjnymi. Kieraciński szuka praw budowy obrazu w spiętrzonych masywach pejzażu miejskiego z całą jego grą punktów świetlnych. Obejrzymy z zainteresowaniem następną wystawę „Inopsu", może tym razem u ateistów.

Zbigniew Strzałkowski — Kompozycja XXV, monotypia, 1960

W wystawie brał jeszcze udział jedyny niezrzeszony i jedyny prawdziwy amator — Tadeusz Siuda, fryzjer, który w wolnych chwilach maluje. Siuda po okresie dynamicznych portretów uspokoił powierzchnię swoich obrazów, sprowadzając ją do lakonicznych, ciepłych płaszczyzn barwnych, którymi określa on bardzo uproszczone pejzaże i martwe natury.

*

Następnie eksponowano na Zamku prace bardzo wrażliwego Węgra — Laszlo Bornemiszy, o których recenzja ukazała się już w „Kamenie". Obecnie odbywa się pokaz obrazów-przedmiotów Jana Ziemskiego.

J. L.

Marian Iwanciów — Kompozycja antropomorficzna tempera, 1960

PRASA LUBELSKA

1816 — 1939

ROMAN ROSIAK

PIERWSZYM oficjalnym przedstawicielem właściwej prasy w Lublinie jest „Dostrzegacz ekonomiczny i polityczny lubelski", wychodzący od 1 kwietnia do 9 września 1816 roku dwa razy w tygodniu. Ogółem ukazało się 47 numerów tego pisma, co daje 585 stron druku. Ta pierwsza gazeta lubelska miała prawie zawsze 4 karty właściwe plus 2—3 karty dodatkowe. Zasadniczą problematykę stanowiły sprawy związane z rolnictwem. Pismo składało się z dwu działów: A. Wiadomości ekonomiczne (i tu ukazywały się artykuły poświęcone uprawie roli, hodowli, ogrodnictwu, leśnictwu i wszelkim pracom gospodarskim) oraz B. Wiadomości polityczne (tu można też czasem spotkać i wiadomości lokalne). Ponadto „Dostrzegacz" zamieszczał trochę poezji. Mimo bardzo wysokiego poziomu, pismo nie wychodziło długo i wkrótce po jego likwidacji w 1817 r. Jan Karol Pruski, dotychczasowy redaktor i wydawca „Dostrzegacza", powołał do życia (w 1817 r.), nowy organ: „Pamiętnik gospodarczy i naukowy lubelski". Niestety, skończyło się tylko na wydaniu jednego numeru.

Sympatie dla myśli postępowej

Dłuższy żywot sądzony był dopiero trzeciej gazecie — „Kurierowi Lubelskiemu". Pismo to zaczęło wychodzić w grudniu 1830 r. i ukazywało się jeszcze w 1831. Jego redaktorem był znany działacz postępowy Jan Czyński. „Kurier" wychodził codziennie, przy czym drukowany był na papierze czerpanym z dwu stron, jeszcze nie jak gazeta, ale jak książka. Trudno mówić o szpaltach, wiadomości pisane były jedna po drugiej, nawet bez tytułów. Ogólna liczba wydanych egzemplarzy wynosi około 50.

Rzeczą wysoce charakterystyczną jest to, że już od pierwszych momentów swego istnienia prasa lubelska ujawniała sympatie dla myśli postępowej, dla walki narodowo-wyzwoleńczej. Przekonać nas o tym może chociażby taki fragment artykułu, z dnia 31.I. 1831 r.:

Uroczysty obchód zgonu Murawiewa, Bestużewa, Pestla i innych, powinien przekonać Rosjan, że my pamiętamy, że jesteśmy ich pobratymskim narodem, nie pałamy ku nim nienawiścią, ale ujarzmionym chcemy podać rękę oswobodzenia i doprowadzić do panowania prawdy i wolności.

Ten utrzymany w rewolucyjnym tonie artykuł oskarżał Moskwę o terror w stolicy Polski i jednocześnie sygnalizował radykalne poglądy społeczne ludu polskiego, który postanowił chwycić za broń i wystąpić przeciw zaborcy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ten postępowy charakter zawdzięczał „Kurier" przede wszystkim swemu redaktorowi — Janowi Czyńskiemu, który zasłynął jako publicysta na emigracji, gdzie głosił poglądy jak najbardziej radykalne, bliskie ideom socjalizmu utopijnego.

W tym samym roku co „Kurier", a więc w 1830, zaczęło ukazywać się w Puławach pierwsze w Polsce pismo dla najmłodszych czytelników pt. „Skarbiec dla dzieci". Wyszło 8 zeszytów, przy czym każdy składał się z 1 arkusza druku i 4 rycin. „Skarbiec" spotkał się z bardzo przychylną opinią, ponieważ w myśl hasła głoszonego przez Ignacego Krasickiego — „...uczył — bawiąc".

Pierwsze lubelskie pismo literackie

Po upadku powstania listopadowego represje ze strony caratu wzrosły i niełatwo było wydawać jakiekolwiek pismo. Stąd też przerwa w wydawnictwach trwająca do r. 1845. Właśnie w tym czasie ukazał się „Fiołek. Noworocznik lubelski, literaturze i poezji poświęcony" Autorką tego tomiku dość zresztą pokaźnego, liczącego 264 strony, była Zofia Ścisłowska. Na treść wydawnictwa złożyły się przede wszystkim utwory literackie, tak samej Ścisłowskiej, jak też Edmunda Znatowicza, Feliksa Jezierskiego i innych pisarzy lubelskich. W r. 1846 wyszedł drugi tom „Fiołka", jeszcze bardziej okazały, liczący 405 stron. Tematyka obu tomików była bardzo ciekawa, chociaż poziom tych utworów nie należał do najwyższych. Warto podkreślić jednakże wyraźne zainteresowanie dla przeszłości Lubelszczyzny, widoczne zwłaszcza w specjalnych artykułach poświęconych Chełmowi, Sawinowi czy Rabsztynowi. Wśród dość słabych utworów literackich można także znaleźć wiersze lub opowiadania o problematyce społecznej.

„Kalendarze Lubelskie" Kossakowskiego

O wiele wyższy poziom reprezentowały „Kalendarze Lubelskie" wydawane przez Władysława Kossakowskiego, właściciela drukarni, od 1869 roku aż po rok 1924. Każdy kalendarz drukowany był w formie książki i liczył przeciętnie około 200 stron. Składał się z trzech zasadniczych części: 1. Kalendarium, wykazy świąt, tabele domu cesarskiego, terminy odpustów i informacje o pracach w gospodarstwie itp. 2. Dział literacki. 3. Informator o przepisach pocztowych i kolejowych, jarmarkach, władzach guberni, adresach itp.

Z każdym rokiem udoskonalano i aktualizowano 1 i 3 część „Kalendarza", natomiast całkowicie zmieniano tylko dział drugi. „Kalendarze Lubelskie" Kossakowskiego są dziś nieocenionym źródłem poznania przeszłości Lubelszczyzny. Bardzo dużo miejsca zajmują w nich sprawozdania i kroniki z życia poszczególnych instytucji, artykuły poświęcone przeszłości wielu miast, zabytków itp. Trzeba też dodać, że wśród autorów piszących do „Kalendarza" spotkać można tak znane nazwiska, jak Klemens Junosza Szaniawski, Wincenty Dawid, Gustaw Doliński, Zdzisław Piasecki, czy wreszcie Hieronim Łopaciński. Właśnie w tym „Kalendarzu" ukazała się w r. 1891 jego praca (wspomniana na wstępie) pt. „Wydawnictwa periodyczne w Lublinie".

Konkurencja

Oprócz powołania do życia „Kalendarza Lubelskiego" — Kossakowski ma jeszcze drugą wielką zasługę — mianowicie wznowienie „Kuriera Lubelskiego". W dniu 30 grudnia 1865 r. literat Julian Liedtke wydał pierwszy numer „Kuriera", który od wybuchu powstania listopadowego (a więc po 35 latach) stał się pierwszą polską gazetą wydawaną na prowincji. Dopiero później powstały pisma w Łodzi, Kaliszu, Kielcach, Radomiu i innych miastach. W 1868 r. pismo przeszło w ręce Wł. Kossakowskiego, a później — od r. 1875 — redagował je Teofil Głębocki. Zmiany te wychodziły „Kurierowi" na dobre. O ile początkowo był on bardzo słaby, wyprany z jakiejkolwiek głębszej treści społecznej — oczywiście z winy bardzo ostrej cenzury, o tyle później znacznie poszerzył się zakres informacji lokalnych i wzbogacił dział materiałów poświęconych przeszłości Lubelszczyzny. Niezbyt długo cieszył się „Kurier" tymi zdobyczami. Walka o jego oblicze trwała bez przerwy i już w 1870 r. nowy redaktor — Wdowiński, ograniczył dział informacji, kładąc główny nacisk na literaturę. Dopiero rok 1875 przyniósł znowu poprawę sytuacji. Dzięki redaktorowi i jednocześnie wydawcy Tadeuszowi Głębockiemu pismo zwróciło baczną uwagę na nawiązanie zerwanego kontaktu z życiem miasta i w ten sposób „Kurier" wydźwignął się z chwilowej depresji.

Bezpośrednio po tym fakcie doczekał się „Kurier" konkurencji w postaci założonej w 1876 r. przez Leona Zaleskiego „Gazety Lubelskiej", która — podobnie jak i jej poprzednik — wychodziła trzy razy tygodniowo. To nowe pismo zwróciło szczególną uwagę na zagadnienia rolnictwa, przemysłu, handlu i literatury. Najwybitniejszym współpracownikiem „Ziemi" był Tadeusz Ciświcki, zdobywający się na niezwykle śmiałe polemiki, których przedmiotem był czy to „Kurier", czy oficjalne rosyjskie pismo „Wiadomości Guberni Lubelskiej" (z nimi spierał się o polskość Lublina). Na łamach „Gazety" pisywał też Jan Ludwik Popławski, Wincenty Dawid, Jan Jeleński i in.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że „Ziemia Lubelska" szybko zdystansowała „Kurier" i zaczęła reprezentować nasze miasto, śledząc jego życie i potrzeby, służąc mu w miarę możliwości — we właściwy sposób.

Konkurencja obu pism skończyła się ich połączeniem w dniu 1 stycznia 1879 r., przy czym pozostała nazwa „Gazeta Lubelska". Fuzja przyniosła wynik jak najlepszy: miasto nasze otrzymało pismo na wysokim poziomie.

Katastrofa

Ale już od r. 1884 pismo chyli się ku upadkowi. Sytuacja taka trwała przez długie lata. W tym czasie fiaskiem kończyły się wszelkie próby wydźwignięcia „Gazety" lub założenia innego pisma. Wreszcie w 1905 roku (gdy redaktorem był Bolesław Drue) nastąpiła katastrofa. Zaczęło się od pójścia w ślady redakcji warszawskich i wydania pisma bez cenzury. Efektem była konfiskata numeru. Później, po przejściu w ręce Narodowej Demokracji — „Gazeta" jeszcze bardziej straciła grunt pod nogami. Ingerencje cenzury zaczęły się mnożyć, doszło do tego, że niemal przez tydzień ukazywały się same ogłoszenia, aż wreszcie przyszła kolej na zamknięcie pisma.

Lubelski drukarz Jan Chmielewski przy prasie (ok. 1880 r.)

Na miejsce „Gazety" powstał w r. 1906 „Goniec Lubelski" Henryka Wiercieńskiego oraz „Dziennik Lubelski" Zdzisława Piaseckiego. Po wydaniu kilku numerów z tych samych powodów oba pisma podzieliły los „Ziemi".

I znowu zaczęły się starania o wydawanie pisma. Zwycięsko wyszła z tych zmagań „Gazeta Lubelska", której redakcję objął Ignacy Peszko.

Wyższa ranga

Znacznie ważniejszym wydarzeniem są jednakże nowe narodziny „Kuriera Lubelskiego" (już po raz trzeci), którego pierwszy numer ukazał się 4 stycz-

(Dokończenie na str. 10)

(Dokończenie ze str. 3)

do 1939 r. pełniła Stefania Bobowska) i nauczycielom chodziło o przygotowanie dziewcząt do pracy na wsi. Na 11-miesięczne kursy przyjmowano uczennice od lat 16 z ukończonymi co najmniej 4 klasami szkoły podstawowej. Dziewczęta pochodziły nie tylko z Lubelskiego, lecz także np. ze Śląska i Poznańskiego. Poziom przygotowania ogólnego miały bardzo różny. Zdarzały się nawet prawie analfabetki. Mimo to w ciągu blisko roku musiały one przyswoić sobie najniezbędniejsze wiadomości z języka polskiego, rachunków, historii, geografii, fizyki, chemii, wiedzy o Polsce. Ponadto przechodziły teoretyczną i praktyczną naukę ogrodnictwa, hodowli, szycia, gotowania, mleczarstwa. Celem szkoły było przygotowanie nie urzędniczek czy instruktorek gospodarczych lecz gospodyń, które wrócą na wieś i zdobytą wiedzę zużytkują we własnym domu.

Stosunek nauczycielek do uczennic był bardzo serdeczny, bliski. Szkoła wszczepiała ideały demokratyzmu, patriotyzmu, wielkiej tolerancji przekonań osobistych, głębokiego morale. Poza nauką odbywały się wieczory świetlicowe, organizowano gry, zabawy, przedstawienia, inscenizacje. Prelekcje w szkole wygłaszali studenci lubelscy — członkowie Związku Młodzieży Wiejskiej „Siew": obecny profesor UMCS dr Józef Mazurkiewicz,

Kosmowska na Lubelszczyźnie

adwokat — Lucjan Mikieta, Radosław Blenau — inspektor hodowlany Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych i inni.

W ciągu dwudziestu kilku lat istnienia szkoły kształciło się rocznie od 22 do 40 dziewcząt wiejskich. Absolwentki wynosiły z Krasienina ogólną ogładę i duże praktyczne umiejętności prowadzenia gospodarstwa. W swoich wsiach korzystnie odbijały od koleżanek.

O wysokim poziomie szkoły, jej roli społecznej pisała w 1914 roku w „Prawdzie" Al. Świętochowskiego — Maria Dąbrowska. Pisał znany działacz chłopski Józef Niećko w „Młodzi idą", pisano w „Kurierze Lubelskim" i w wielu innych pismach.

Szkołę krasienińską uważała Kosmowska za jedno z najpoważniejszych osiągnięć życia. Stąd szczególna troska o nią. Irena Kosmowska zawsze odwiedzała Krasienin, ilekroć bawiła na Lubelszczyźnie — czy to w Nałęczowie u Stefana Żeromskiego, z którym łączyła ją przyjaźń, czy to u Dulębów w Niezabitowie.

Jak wiadomo przez 10 lat była Kosmowska posłanką Ziemi Lubelskiej. Walczyła w swej pracy parlamentarnej o demokratyczną konstytucję, o reformę rolną, prawa obywatelskie i oświatę dla ludu. Lubelskie gazety drukowały liczne jej przemówienia sejmowe. Sama zresztą także pisała w „Kurierze Lubelskim". Na terenie Lubelszczyzny miała setki przyjaciół wśród chłopów. Szczególnie gorąco była przyjmowana, gdy jako wysłanniczka PSL-Wyzwolenie brała udział w terenowych zjazdach Stronnictwa w powiecie krasnostawskim, na licznych wiecach ludowców.

W 1930 roku Irena Kosmowska, jako przedstawicielka „Centrolewu" i posłanka Ziemi Lubelskiej, przyjechała na wiec do Lublina. Przemówienie, które wygłosiła, było ostrą krytyką ówczesnych rządów. Za ton wystąpienia i nazwanie Piłsudskiego „obłąkańcem" została aresztowana i osadzona na Zamku. Wkrótce z „amerykańską" szybkością odbyła się rozprawa sądowa, w której została skazana na 6 miesięcy więzienia. Wyrok ten wywołał ostre protesty całej postępowej części społeczeństwa polskiego, a nawet liczne reperkusje zagraniczne. Założona apelacja i kasacja nie zmieniły kary. Dopiero bez wiedzy i bez starań Kosmowskiej sam prezydent, nie chcąc dopuścić do skandalu, wydał akt ułaskawienia Kosmowskiej. Lubelski proces, obok brzeskiego, był jednym z najbardziej charakterystycznych znamion polityki władz sanacyjnych.

Kosmowska wywierała duży wpływ na inteligencję lubelską. I to zarówno wskutek ideowego oddziaływania przy stałych kontaktach, wymianie myśli w licznych dyskusjach (szczególnie w domu doktorostwa Jankowskich w Lublinie), jak i poprzez osobisty przykład niezmordowanej pracy społecznej, którą pełniła przez lata kosztem licznych wyrzeczeń w życiu osobistym.

*

Irena Kosmowska zmarła wskutek męczarni w obozie hitlerowskim. Uroczystości ekshumacyjne i sprowadzenie z Niemiec do Polski jej prochów miały dla Lubelszczyzny szczególnie ważny charakter. Z naszym regionem niestrudzona działaczka związała się niezwykle silnie. W Lubelskiem żyje jeszcze wielu przyjaciół i osób bliskich tej niezwykle pięknej, głęboko ideowej postaci.

Romuald Karaś

*) Podstawę artykułu stanowiły relacje osób blisko znających Irenę Kosmowską: Róży Madlerowej, Danuty Magierskiej i Joanny Szydłowskiej oraz książka Reginy Kociołowej pt. „Irena Kosmowska", wyd. LSW, W-wa 1960.

Przegląd literacki

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Przybierająca na sile od roku 1956, fala poezji, która — zdaniem wielu — przypomina najobfitsze tego rodzaju przypływy w polskim dwudziestoleciu, rozbija się coraz częściej o dwa mury: krytyckich nieporozumień i czytelniczego niezrozumienia. Bogate wydają się przyczyny tego niepokojącego nie tyle poetów, ile wydawców i popularyzatorów poezji zjawiska; nie najmniejszą z nich jest na pewno inflacja debiutów, które niby rój meteorów przyćmiewają artystyczne gwiazdy średniej i pierwszej wielkości, ale główny powód obojętności tzw. szarego czytelnika na współczesną poezję upatruję osobiście w impotencji krytyki, próbującej analizować i oceniać ów niewątpliwie najtrudniejszy do objaśniania rodzaj literackiej twórczości. A także w przedziwnej niezdolności, zwłaszcza młodych poetów, do wyjaśnienia czytelnikowi, również i sobie, czego chcą i czego szukają w liryce (nie tylko zresztą własnej), w jeszcze dziwniejszym ich wstręcie do nie tyle publicystycznego — na brak dziennikarskich manifestów młodzieży artystycznej nie można było narzekać przez minione 15 lat — ile esseistycznego komentowania przez nich walki starego z nowym w literaturze i sztuce. W tym stanie rzeczy tym bardziej cenne i pożądane wydają się niezbyt liczne, niestety, książki poetów starszego pokolenia poezji, o literaturze, częściej (jest to miarą nie tylko artystycznej, ale ludzkiej dojrzałości) cudzej niż własnej, na równych prawach dawnej i nowoczesnej, książki zwrócone mniej ku sobie, ku apologii czy nawet rozrachunkowi z własną twórczością, metodą artystyczną, poetyką, więcej za to na zewnątrz, właśnie ku czytelnikowi.

Ciąg takich książek rozpoczął dwa lata temu swoimi „Szkicami" Jerzy Zagórski. Z omawianych w tym „Przeglądzie" tomów jest w jego zbiorze najobficiej wszystkiego po trochu: obok rozważań z pogranicza teorii i historii kultury znajdujemy w „Szkicach" egzegezy teatralne, a z wspomnieniami o poetach sąsiadują recenzyjne oceny ich twórczości. Jednakże trzonem niesłusznie ominiętej przez krytyków książki Zagórskiego wydają się te jej partie, w których pisarz rozmyślając o teatrze i zajmując się szczególnie subtelnie zagadnieniem przekładu dramatycznego mówi w rzeczywistości o poezji, ciekawi się jej związkami ze sztuką sceniczną, a nawet rozpatruje samą lirykę jako ułamki wielkiego, ludzkiego dramatu. I to jest najpiękniejszy sukces tych szkiców nie tyle napisanych, ile opowiedzianych żywym, barwnym a bezpośrednim językiem: przełamanie przekonania nurtującego podskórnie w twórczości i wypowiedziach młodych i najmłodszych poetów, że liryka jest czymś profesjonalnym i ezoterycznym, ułamkiem zwierciadła Narcyza, że poetycką, a np. dramaturgiczną, narrację o świecie dzieli wąska może, ale jednak nie do przebycia szczelina między dwoma warsztatami, dwoma postawami artystycznymi. W kręgu poetów nie ma miejsca dla zawodowców — zdaje się mówić Zagórski — jest on za to otwarty dla wszystkich znających i rozumiejących sztukę.

Rzecz charakterystyczna, że podobną postawę wzgardy dla poetyckiego zawodowstwa odczytać można w „Modernizmie polskim" Kazimierza Wyki. Wydawałoby się, że studium trącić powinno bardzo szkolarskim profesjonalizmem: sięgnięcie do chyba najbardziej anachronicznego okresu i kierunku artystycznego, jakim na ogół pozostaje dla współczesnych poetów i czytelników poezji Młoda Polska, przez badacza uzbrojonego w tytuł profesorski i wypracowany w ciągu długich lat polonistycznej dłubaniny warsztat naukowy — powinno dać w rezultacie lekturę przydatną tylko dla fachowców, studentów, no, może dla miłośników literackich osobliwości. Ale Wyka także przecież bywał poetą, czego dowodzą chociażby kongenialne w pastiche'u „Duchy poetów podsłuchane", okazał się subtelnym znawcą spraw młodzieży poetyckiej w „Rzeczy wyobraźni", i tymi samymi przymiotami wzmocnił i okrasił już przed laty (trzon monografii powstał w dwudziestoleciu) precyzyjną, okazaną na przykładzie „Modernizmu polskiego", metodę badania związków ideowo-artystycznych, łączących indywidualności rozmaitego rozmiaru i kalibru w jedno pokolenie literackie. „Modernizm polski" uczy spojrzenia na kierunki, programy i grupy poetyckie cum grano salis i sub specie aeternitatis w wymiarach nie tylko historii literatury, ale i zdrowego rozsądku — szczególnie pożądanego w ocenie najnowszej poezji, uczy ostrożności i delikatności w zbyt pochopnie dokonywanym przesadzaniu na Parnas kwitnących w oczach niektórych krytyków niby egzotyczne orchidee talentów poetyckich, gdy tymczasem są to jedynie niezabudki do zasuszenia w Pamiętniku Literackim.

Woń takich niezabudek unosi się — na mój węch przynajmniej — nad „Linią i gwarem" Juliana Przybosia. Zatrąci to niewątpliwie herezją dla tych, którzy upatrują w autorze „Miejsca na ziemi" żywy pomnik poezji polskiej, dla mnie jednak Przyboś, żywy nadal w wielu swoich wierszach, w uczniach odchodzących zresztą prędzej czy później od jego poetyki — martwieje powoli właśnie w esseistyce i publicystyce, wypełniającej „Linię i gwar". Wartość historyczno-literacka

▶

KAMENA, R. 22; 1964 nr 2.

PRASA LUBELSKA

(Dokończenie ze str. 9)

nia 1906 r. Redaktorem został Władysław Stodolnicki, ale faktycznie nadawał ton pismu wybitny przedstawiciel radykalnej inteligencji lubelskiej — dr Mieczysław Biernacki. Jego też niezwykle postępowy artykuł na temat wyborów w guberni lubelskiej spowodował, że „Kurier" po półmiesięcznym istnieniu został zamknięty. W tym czasie ukazało się w Lublinie trzecie pismo, niestety, dalekie od ideałów „Kuriera". Był nim klerykalny organ ks. Kłopotowskiego „Polak Katolik".

Trzecie wydanie „Kuriera Lubelskiego" — to najpiękniejsza bodajże karta w dziejach prasy polskiej, do 1939 r. Pismo to skupiło wokół siebie najlepsze elementy społeczeństwa naszego miasta. Nie brak tam było i SDKPiL-owców, członków PPS obu kierunków, demokratów o różnych odcieniach. Dlatego też nie mógł długo wytrzymać w tym zespole redaktor Stodolnicki, zdradzający sympatię dla przeciwników postępu. W 1907 r. odszedł z „Kuriera" i sam założył „Gońca Polskiego". Redakcja „Kuriera" pozostała wierna postępowi do końca i to zmusiło ją do podjęcia natychmiast szeregu polemik z „Gazetą Lubelską", „Gońcem Polskim" i „Polakiem Katolikiem". Szczególnie ostre były polemiki na temat oświaty (na łamach „Macierzy Szkolnej"), antyklerykalizmu, demokracji itp. Represje władz carskich sypały się w takich przypadkach jak z przysłowiowego rogu obfitości. Celował — rzecz jasna — „Kurier", wśród jego współpracowników — Jan Hempel. Wskutek np. jego artykułu pt. „Pielgrzymka" — „Kurier" nie wychodził przez przeszło miesiąc w 1913 r. A ile było kar pieniężnych czy odsiadywania aresztu!

Dzięki swojej bezkompromisowości „Kurier" zdobył sobie bardzo szybko uznanie, zwłaszcza w prasie warszawskiej. Dla przykładu zacytujemy fragment artykułu z „Myśli Niepodległej" — redagowanej przez Andrzeja Niemojewskiego z 1909 r.:

„Kurier Lubelski"

„Otrzymaliśmy prospekt na rok 1909 tego pisma, wychodzącego już od trzech lat i doskonale redagowanego. „Kurier Lubelski" zyskał nie tylko trwałą podstawę materialną, o którą zwłaszcza pismom prowincjonalnym tak trudno, ale uporał się z daleko większymi trudnościami, tj. ideowymi, gdyż nie jest dogmatykiem ani naprzód, ani w tył. Dziwna świeżość myśli i uczuć bije z niego. Czytamy w prospekcie: „Dążeniem Kuriera jest przez ciągłą i wytrwałą pracę wytworzyć wielką kulturalną placówkę, jednoczącą wszystkie wysiłki ludzi, którym istotnie dobro kraju na sercu". Ma on pełne prawo powiedzieć o sobie: „Dzięki śmiałemu i szczeremu podejmowaniu wszelkich kwestii społecznych Kurier zajął wyjątkowe stanowisko w naszej prasie prowincjonalnej. A dalej: „Wskutek swojego programu narażony jest na ciągłe i nieustanne walki z obskurantyzmem i wstecznictwem, zakorzenionymi na nieszczęście jeszcze bardzo głęboko w naszym narodzie. Wierzymy, że „Kurier" przekona niechętnych, zdobędzie sobie uprzedzonych, skruszy opornych. Wierzymy, bo znając światlejszą przeszłość narodu naszego, w światlejszą jego przyszłość wierzyć mamy prawo".

„Kurier", na łamach którego spotykamy nazwiska takich wybitnych pisarzy i działaczy, jak Stefan Żeromski, dr Mieczysław Biernacki, dr Witold Chodźko, Jan Hempel, Wanda Papiewska, Witold Giełżyński i in. — nie mógł poprzestać tylko na pracy dziennikarskiej. Stąd też systematycznie patronował każdemu przejawowi myśli postępowej, wspomagał każdą inicjatywę społeczną. Wystarczy wspomnieć tylko Towarzystwo Oświatowe „Światło", Towarzystwo Abstynentów „Przyszłość" czy Lubelską Spółdzielnię Spożywców, by przekonać się, ile dobrego zrobiło jedno pismo dla sprawy postępu społecznego. I dlatego ta wysoka ocena „Kuriera" wydaje się jak najbardziej słuszna i uzasadniona. Torował bowiem drogę postępowi.

Pisma socjalistyczne

Piękne tradycje „Kuriera" przejęły i poniosły dalej pisma o charakterze wybitnie socjalistycznym, najczęściej wychodzące nielegalnie. Przegląd tych pism zacznijmy od możliwie najwcześniejszych zwiastunów socjalizmu w prasie lubelskiej. Trzeba więc wspomnieć o dzienniku nielegalnym, organie Siedleckiego Komitetu Okręgowego PPS, pt. „Naprzód", którego sześć numerów wyszło w latach 1905—6, osiągając nakład 740 egz. Drugim pismem nielegalnym, organem lubelskiej organizacji PPS, była „Pobudka". W latach 1905—6 wyszły jej dwa numery, przy czym nakład był bardzo wysoki — wynosił 3.000 egz. W latach 1907—9 wydawnictwo pod tym tytułem zostało wznowione i wyszły jeszcze 4 numery.

Ukazywały się też jednodniówki, np. „Lud pracujący sam musi bronić swoich praw" — nakładem Komitetu Lubelskiego ok. 1912 r. W r. 1913 ukazały się jednodniówki PPS Fr. Rew. — „Czyn". Jednodniówka robotnicza — wydawnictwo lubelsko-siedleckiej organizacji PPS Fr. Rew. — pt. „Jutro". Także w 1915 r. wyszły trzy numery pisma organizacji lubelsko-siedleckiej PPS — „Walka". W rok później ukazał się „Robotnik Lubelski" — Jednodniówka Socjalistów Polskich. W latach 1915—1916 „Kurier Lubelski" ukazywał się jako organ PPS-Lewicy. Miał on charakter tygodnika społeczno-ekonomicznego, popularno-naukowego i literackiego. Redaktorem była Wanda Papiewska. Liczba numerów osiągnęła 40. W latach 1917—18 w legalnej drukarni Pietrzykowskiego wydrukowano 4 numery „Naszych Haseł", organu PPS Fr. Rew. Najwyższy nakład wynosił 2000 egz. W 1918 r. ukazały się 3 numery „Chłopskiej Doli" — również organu PPS Fr. Rew. w Lublinie.

Niewątpliwie dużym osiągnięciem było też ukazanie się pierwszego w Polsce pisma spółdzielczego — „Spółdzielcy", który jako tygodnik był wydawany przez Wydział Społeczno-Wychowawczy (pierwszy w Polsce) przy LSS. Pismo to wychodziło od roku 1916 do 1924.

Do wyjątkowych zdobyczy prasy lubelskiej należy też jej udział w pracach Lubelskiej Rady Delegatów Robotniczych w 1919 r. Wtedy to powstał pierwszy w Polsce organ RDR — „Wiadomości Rady Delegatów Robotniczych w Lublinie", a dalej: „Wiadomości Rady Delegatów Robotniczych i Folwarcznych Ziemi Lubelskiej". Równocześnie z wymienionymi pismami ukazywał się staraniem KPRP w Lublinie tygodnik „Prawda Komunistyczna". W tych dniach, kiedy rodził się i cementował ruch robotniczy w Polsce, kiedy powstawały zalążki władzy ludowej — prasa lubelska umiała znaleźć swoje właściwe miejsce i wykonać powierzone zadania.

Szansa regionu

Okres XX-lecia przyniósł dalszy wzrost prasy naszego regionu. Do największych osiągnięć tych lat należą narodziny lubelskiej prasy literackiej.

Po próbach z „Luciferem" (1921—1922), „Reflektorem" (1923—25), „Nowym Życiem" (1925) i dodatkach literackich do pism codziennych — w 1933 r. w Chełmie przyszła na świat „Kamena", którą wydawał własnym nakładem K. A. Jaworski. Nie miejsce tu na szczegółową ocenę tego pisma, ale trzeba przynajmniej podkreślić popularyzowanie kultury krajów słowiańskich, nawiązanie z nimi jak najściślejszych kontaktów, walkę z faszyzmem no i budzenie miłości i szacunku dla regionu lubelskiego. Temu celowi służyły też i inne wydawnictwa, jak np. „Region Lubelski", który wychodził w latach 1928—29, „Pamiętnik Lubelski" (1930—1934) czy „Regionalizm Lubelski" (1928).

Dzięki temu żywemu zainteresowaniu regionem pojawiać się zaczęły pisma także w innych miastach lubelskich. M. in. w latach 1929—30 w Zamościu wyszły 63 numery „Słowa Zamojskiego", redagowanego przez Antoniego Borkowskiego. W tymże mieście wychodziła później „Kronika Powiatu Zamojskiego".

Szczególnie duże zainteresowanie dla prasy okazali nauczyciele. W 1929 r. ukazał się w Lublinie pierwszy numer „Ogniska Nauczycielskiego", które było pismem wysoce postępowym, torującym drogę nowym ideom i dlatego redakcja miała prawo napisać o swej pracy te słowa:

„Wszędzie nieśliśmy myśl twórczą, wszędzie dawaliśmy inicjatywę, nawet w najdalszych, najbardziej zapadłych wiejskich zakątkach tworzyliśmy nowe życie...".

Wśród licznych założycieli i współpracowników w „Ognisku" znalazł się dzisiejszy Marszałek Sejmu PRL Czesław Wycech, a obok niego — najwybitniejszy poeta Lubelszczyzny — Józef Czechowicz.

Na „Ognisku" nie kończy się historia prasy nauczycielskiej Ziemi Lubelskiej. Niektóre oddziały powiatowe ZNP wydawały własne pisma. Np. w Łukowie wychodziło „Podlasie", w Międzyrzecu — „Głos Powiatu Radzyńskiego", w Siedlcach — „Ziemia Siedlecka" itd.

Wybuch II wojny światowej zamknął ten rozdział dziejów prasy lubelskiej.

Roman Rosiak

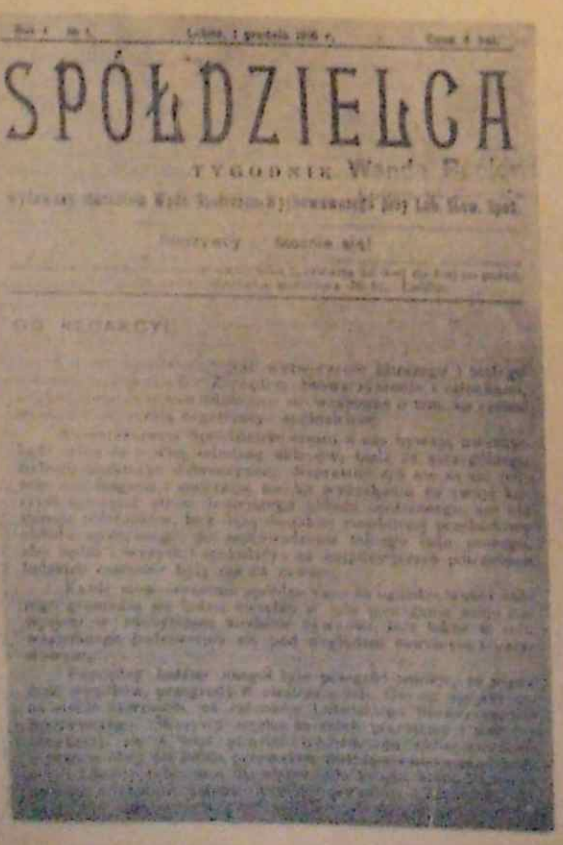

SPÓŁDZIELCA

TYGODNIK

(Dokończenie ze str. 10)

tych szkiców jest zresztą spora, materiały do dziejów i przemian Awangardy — cenne, najmniej jednak zwietrzałe i najbardziej żywe dla obecnego czytelnika wydają mi się te szkice Przybosia, w których okazuje on związki swojej poezji i poezji w ogóle z malarstwem, architekturą — ze sztuką organizowania przestrzeni, gospodarowania nią. W tych uwagach Przyboś przekłada nad przywileje poetyckiego dogmatyka obowiązki artystycznego dydaktyka, nie tyle piętnuje i chwali, ile wyjaśnia i tłumaczy, również niekiedy jednostronnie, ale częściej — przekonująco. Zdarza mu się to zresztą i w uwagach o poezji, gdzie jednak miejsce centralne zajmuje nie tyle obrachunek, ile apologia własnej twórczości.

A jej właśnie brak w „Piekłach i Orfeuszach" sympatyzującego zresztą z Przybosiem Zbigniewa Bieńkowskiego. Zapewne szczupła ilościowo, ale ważka jakościowo twórczość liryczna autora „Trzech poematów" jest urzeczona w tym samym stopniu, co esseistyka Bieńkowskiego, umiłowaniem filozofii, drążeniem jądra ontologicznego rzeczy, teoriopoznawczego — pojęć i słów, jest to jednak stopień pokrewieństwa, nie analogii, a już najmniej — identyfikacji. Jako esseista Bieńkowski zapomina o tym, że sam uprawia poezję, skupia natomiast całą swoją uwagę i wrażliwość na fakcie i metodzie uprawiania jej przez innych, przez najwybitniejszych, najbogatszych w uczniów i czytelników artystów naszego stulecia. Literatura dla Bieńkowskiego — na tym chyba zasadza się najsilniej jego pokrewieństwo koncepcyjne z Przybosiem — jest sztuką organizowania i tłumaczenia świata, gospodarowania nim nawet wówczas, gdy (pamiętajmy, że zajmuje się on przede wszystkim literaturą zachodnio-europejską, spokrewnioną w różny sposób z egzystencjalizmem) na końcu takiej egzegezy znajduje się chaos, rozpacz, absurd. Formowany taką dyrektywą komentarz autora „Piekieł i Orfeuszy" do sytuacji ideowej i artystycznej literatury Zachodu ma jednak — mimo filozoficznej specjalizacji — charakter kompendialny i może służyć jako wrażliwy, acz nie pozbawiony z lekka hipochondrycznych sympatii i antypatii, przewodnik po dziwnej krainie zwanej nowoczesnością w sztuce i kulturze.

„Między słowem a milczeniem" Mieczysława Jastruna wydaje się publikacją najbardziej podobną do ideału, jakiego krytycy poszukują, a czytelnicy oczekują od książki poety o poezji. Może dlatego, że Jastrun łączy w swoim zbiorze bez mała wszystkie zalety rozważanych wyżej esseistów, a ich wady sprowadza do umiarkowanych, wybaczalnych proporcji. Jest — mówię wciąż o Jastrunie pokazanym w „Między słowem a milczeniem" — świetnym tłumaczem jak Zagórski (w „Szkicach" tegoż rzecz o przekładzie „Maskarady" Lermontowa uderza wyjątkową celnością) i równie jak on pozostaje wrażliwy na dramatyczne wątki poetyckie — jednakże bez osłabiającego walor „Szkiców" eklektyzmu metodycznego i uwydatniającej go niedbałości w narracji. Jest równie jak Wyka historykiem literatury, znającym, szanującym i doceniającym zaplecze artystyczne teraźniejszości, umiejącym jednak je okazać pełniej jako pisarz o (wzbronionej naukowcowi) umiejętności mówienia poprzez innych o sobie, okazywania na cudzych narzędziach i metodach własnego warsztatu twórczego. Jastrunowi nie obca pozostaje również programowość literacka Przybosia, właściwe silnym indywidualnościom twórczym gusta i dysgusta artystyczne, odbijające się jednak w mniej sztywnym i doktrynerskim, a więcej elastycznym i umiarkowanym sposobie wypowiedzi. I jest wreszcie autor „Poezji i prawdy", tak jak Bieńkowski, wyjątkowo usposobiony do zamyślania się nad jądrem ontologicznym rzeczy i rdzeniem teoriopoznawczym słów, jednakże w zabiegach dydaktycznych i pedagogicznych, których dyskrecję i kurtuazję doprowadza w „Między słowem a milczeniem" do maestrii, zależy mu bardziej na uwrażliwieniu czułości estetycznej, aniżeli metafizycznej czytelnika. A przy tym w książce tej jest wiele przekładów poetyckich tak pięknych i komentarzy do nich (np. „Lekcja Rilkego") tak celnych, żeby sparafrazować opinię Henryka Berezy — dla nich samych warto mieć na własność Jastrunowski przewodnik poetycki, dobrze zasługujący się mądrze, odpowiedzialnie pojmowanemu dziełu upowszechniania kultury literackiej i artystycznej, kultury poetyckiego słowa.

Jerzy Zagórski: „Szkice". Kraków 1958, Wyd. Literackie.
Kazimierz Wyka: „Modernizm polski". Kraków 1959, j. w.
Julian Przyboś: „Linia i gwar", j. w.
Zbigniew Bieńkowski: „Piekła i Orfeusze". Warszawa 1960, Czytelnik.
Mieczysław Jastrun: „Między słowem a milczeniem". Warszawa 1960, PIW.

Zbigniew Pędziński

Narada pożytecznych przemian

(Dokończenie ze str. 1)

nictwa. Biblioteki w powiecie bialskim liczą ponad 120 tysięcy książek. Powiat ma niewiele ponad 105 tysięcy mieszkańców. A więc jedna książka na jednego mieszkańca. To bardzo dobrze. Biblioteki w tym jednym powiecie kosztowały państwo pół miliona z okładem. Nie wolno żałować tych pieniędzy. Nie wolno, mimo mizernego jeszcze dorobku bibliotekarzy bialskich.

W ubiegłym roku biblioteki zarejestrowały w całym powiecie 12.500 czytelników. Zarejestrowały, a więc ujęły w ewidencję każdego, kto choć raz wypożyczył książkę. W rzeczywistości czytelników jest o wiele mniej. A przecież liczba zarejestrowanych czytelników to jeszcze nie dowód czytelnictwa. A kto czyta? Co czyta?

Kierownik Biblioteki Powiatowej w Białej Podlaskiej opowiadał podczas narady o wielkim wysiłku podejmowanym przez personel tej placówki w celu przyzwyczajenia mieszkańców do książki.

— Nasza praca na codzień to ciągłe usiłowania...

Brzmiało to jak skarga i jakaś racja w tym jest. Wobraźcie sobie człowieka, któremu zakład pracy zlecił prowadzenie punktu bibilotecznego. Człowiek ten absolutnie nie wie od czego zacząć. Przez kilka dni z rzędu przychodzi więc do Biblioteki Miejskiej i oparty o szafę obserwuje, jak bibliotekarka obsługuje ludzi. Aż wreszcie dochodzi do rozmowy.

— Nie wybrał pan książki dla siebie? Co pan lubi czytać? Ja pomogę.

— Iii! ja tylko tak. Ciekawi mnie pani praca.

— Chce pan zostać bibliotekarzem?

— Ja nim zostałem. Uchwałą naszej Rady Zakładowej (!).

Rozmowa taka (autentyczna) miała miejsce w kilka dni po naradzie personelu Biblioteki Powiatowej i Miejskiej z przedstawicielami zakładów produkcyjnych. Biblioteka oferowała zakładom uruchomienie punktów bibliotecznych, przeszkolenie ludzi do ich obsługi, pomoc przy organizowaniu bibliotek zakładowych, udostępnienie literatury zawodowej, informatorów itp. Wynik tej narady pozostał wyłączną własnością jej uczestników. Nie dowiedzieli się o nim robotnicy, ani nawet rady zakładowe i te organizacje społeczne, które w zakładach prowadzą działalność oświatową.

Książka nie jest jeszcze niestety artykułem pierwszej potrzeby dla bialskich robotników i chłopów. Nie jest, mimo iż władze nie szczędzą środków materialnych, aby tak było.

Uczestnicy narady bialskiej zastanawiali się poważnie, jaki kierunek natarcia przyjąć w roku bieżącym. Zgodnie doszli do wniosku, że sprawą pierwszoplanową jest podniesienie kwalifikacji ludzi prowadzących biblioteki gromadzkie i zakładowe. Z 30 pracowników zatrudnionych w bibliotekach powiatu tylko 3 osoby posiadają średnie wykształcenie bibliotekarskie i 3 średnie wykształcenie ogólne. Wśród pozostałych pracowników znaleźć można i takich, którzy nie mają ukończonej 7-klasowej szkoły podstawowej.

Drugą sprawą jest zainteresowanie kierownictw zakładów pracy, a nawet terenowych rad narodowych, rozwojem czytelnictwa. Ich dotychczasowy, bierny stosunek do tego zagadnienia, obsadzanie stanowisk bibliotekarzy ludźmi nieprzydatnymi do innej pracy, bądź takimi, którym „potrzebny kawałek chleba", zamyka drogę książce.

SCENA I ZŁOTÓWKA

Narada bialska miała na celu omówienie całokształtu działalności kulturalno-oświatowej. Chyba z tego powodu ani jeden problem nie został dostatecznie omówiony. A mimo wszystko uznać ją trzeba za pożyteczną. Chodzi o to, że w natłoku zagadnień te tylko skupiały uwagę uczestników, które mają decydujące znaczenie dla powiatu, te, które narastały od dłuższego czasu.

Jednym z takich wybranych zagadnień był rozwój ruchu amatorskiego.

Na terenie powiatu pracują 34 świetlice. Przy nich istnieje 30 zespołów teatralnych. Jeśli chodzi o zespoły wiejskie, ich największą trudnością jest brak odpowiedniego repertuaru oraz reżyserów. I jedno, i drugie zabezpieczyć im powinien Powiatowy Dom Kultury, lecz o tej placówce za chwilę.

W samej Białej istnieje kilka zespołów teatralnych. Do pewnego czasu najaktywniejszy był tak zwany „Teatr Podlasia", istniejący przy PDK. Ostatnio ożywił swoją działalność „Teatr Spółdzielca", firmowany wprawdzie przez sekcję kulturalno-oświatową przy spółdzielniach pracy, a w rzeczywistości nie kontrolowany przez żadną spółdzielnię. Obok tych zespołów istnieje jeszcze kilka, przy MHD i innych instytucjach. Lecz niech nikogo nie myli ta stosunkowo duża liczba zespołów. Biała żyje do dzisiejszego dnia wspomnieniami „Chaty za wsią", wystawionej kilka lat temu przez „Teatr Podlasia", a także rozgardiaszem, jaki powstał wokół prób „Krakowiaków i Górali".

— Chcemy krzewić kulturę i pracować w zespołach — mówiła jedna z uczestniczek narady — lecz zniechęcono nas.

— Ruch amatorski został skażony pieniądzem — dodał ktoś inny.

Wydaje się, że to określenie dość wiernie ilustruje sytuację, jaka powstała w bialskim ruchu amatorskim. Chodzi o to, że zarówno Wydział Kultury PPRN, jak i kierownictwo niektórych zespołów, niesprawiedliwie rozdzieliły premie wśród aktorów-amatorów. Powstały stąd kwasy, doszło do zawieszenia prób w „Teatrze Podlasia", a wreszcie do jego upadku. Sytuację pogorszył fakt, że „Teatr Spółdzielca" nie pracuje na zasadach amatorstwa. Aktorzy za każde przedstawienie otrzymują pewne sumy pieniędzy. Nazywa się to rekompensatą za czas stracony na próby, bądź „zachętą" do dalszej pracy. Jest rzeczą oczywistą, że na członków innych zespołów taki przykład nie podziałał zachęcająco.

Kierownik zespołu „Teatru Spółdzielcy" nie ukrywał swego stanowiska. Stwierdził wprost:

— Aktorzy powinni otrzymywać jakieś wynagrodzenie. Bez tego nie będą pracować.

I oto problem. Wydawałoby się nieistotny, po wielokroć wyjaśniany, a trwa i przeszkadza. Nie ulega wątpliwości, że zasady, na jakich zorganizowany został „Teatr Spółdzielca", muszą się zmienić. Tym bardziej, że powodują one niepotrzebny rozdźwięk między poszczególnymi zespołami, wywierają ujemny wpływ na ogół ruchu amatorskiego.

Postronny obserwator bialskiej narady nie musiał nawet słuchać dyskusji. Wystarczyły mu urywki zdań zasłyszane podczas przerwy, aby zrozumiał istotny sens niezdrowej rywalizacji między zespołami. Nie jakość i wartość przedstawienia jest czynnikiem decydującym o takim stanie, lecz złotówka. To ona sprawiła, iż od pewnego czasu mieszkańcy miasta nie oglądają własnych przedstawień.

Podczas narady nie brakło rozsądnych głosów, nawołujących do zerwania ze złym przyzwyczajeniem, domagających się skupienia sił. Oby te głosy przekonały zainteresowanych.

PDK

I wreszcie Powiatowy Dom Kultury. Na naradzie poświęconej działalności kulturalno-oświatowej w powiecie nie mogło zabraknąć głosów na temat tej placówki. Dobrze, że były to głosy krytyczne.

Bialski PDK istnieje już 8 lat. Jest to okres wystarczający dla wypracowania własnych form działalności najbardziej odpowiadających środowisku. Niestety. W Białej brak jest takich form. Działalność PDK powinna jak to ma miejsce w innych powiatach — być dwojakiego rodzaju: praca ze środowiskiem i w środowisku oraz instruktaż i poradnictwo. Dom Kultury w Białej prowadzi samodzielnie tylko pracę własnych zespołów artystycznych. Jest to zespół taneczny, chór męski i orkiestra dęta.

Inicjatywę w dziedzinie pracy oświatowej przejął Międzyzakładowy Klub Podlasian, korzystający raz w tygodniu z pomieszczeń PDK. Klub ten organizuje odczyty, spotkania autorskie, spotkania z aktorami i dyskusje.

Jeszcze gorzej przedstawia się działalność instruktażowa PDK, mimo iż ma on wyjątkowo dobre warunki niesienia pomocy ruchowi amatorskiemu w powiecie. Żaden z PDK w województwie lubelskim nie może się pochwalić taką bazą materiałową, jaka istnieje w Białej: 300 kompletów kostiumów teatralnych i strojów ludowych, 400 pozycji w bibliotece repertuarowej. Poza tym ludzie rozkochani w teatrze. A mimo to PDK idzie po najmniejszej linii oporu. Wypożycza stroje i repertuar i... na tym koniec. Instruktor odpowiedzialny za ten dział pracy ani razu nie był w terenie. Nie zna więc warunków pracy wiejskich zespołów teatralnych. Prośba kierowniczki zespołu tanecznego z Zabłocia o konsultację do dzisiejszego dnia nie została spełniona.

Nie trzeba się dziwić, że uczestnicy narady, szczególnie ze wsi, nie szczędzili słów krytyki pod adresem PDK. Przyczyn małej żywotności PDK w Białej doszukiwać się trzeba w złych warunkach lokalowych, niewłaściwym doborze pracowników etatowych i w całkowitym zaniedbaniu tej placówki przez władze powiatowe.

Nie trzeba się doszukiwać innych trudności. Są pieniądze, bogate zaplecze materiałowe. Potrzeba zdolności organizatorskich i zapału do pracy.

TRUDNY ROK

Narada nie spełniłaby swego zadania, gdyby nie wytyczyła głównych kierunków działania na najbliższy okres. Pod tym względem narada bialska była bogata. Obok ogólnikowych sformułowań: „będziemy rozwijać różne formy pracy kulturalno-oświatowej", ustaliła ona szereg istotnych poczynań.

Na plan pierwszy wysunęły się sprawy związane z obchodami 1000-lecia Państwa Polskiego. Tak więc zorganizowane będą uroczystości w 150 rocznicę urodzin J. I. Kraszewskiego i w 100 rocznicę Powstania Styczniowego, przy czym ze składek społecznych ma być odbudowany pomnik na Białce, zburzony przez Niemców podczas ostatniej okupacji. Już w tym miesiącu planuje się w Białej festiwal muzyki, pieśni i tańca, jesienią ma być zorganizowany konkurs poezji partyzanckiej i konkurs na estetyczne wnętrze świetlicy wiejskiej.

Uczestnicy narady uznali za słuszne nawiązanie kontaktów ze środowiskami twórczymi w Lublinie i Warszawie, a także ze środowiskami naukowymi. Bialskie Towarzystwo Miłośników Astronomii, Koło Bialczan, Biblioteka Powiatowa i Miejska zapraszać będą do siebie naukowców, literatów, aktorów i plastyków.

Dużo uwagi przywiązywano do inwestycji. Kontynuowane będą prace przy budowie teatru i kina letniego w zachodniej stronie wałów otaczających zamek bialski. W projekcie jest budowa kina panoramicznego, podstawowej szkoły muzycznej, powiększenie lokalu Biblioteki i kapitalny remont budynku „Pod wieżą".

Ciekawy jest projekt wydania drukiem monografii powiatu bialskiego.

Inny kierunek natarcia wynikający z narady dotyczy podnoszenia umiejętności zawodowych ludzi pracujących etatowo w placówkach kulturalno-oświatowych. Projektuje się na szerszą skalę szkolenie bibliotekarzy wiejskich, zmiany w obsadzie PDK, przeszkolenie konsultantów itp.

Plan poczynań kulturalno-oświatowych w powiecie bialskim nie należy do łatwych. Lecz właśnie dlatego jest mobilizujący, a fakt, że ustalany był przez wszystkich zainteresowanych, jest najlepszą gwarancją jego wykonania.

Adolf Lekki

JAN NAGRABIECKI

Nad mogiłą Józefa Czechowicza

Chmura słoneczna
Śpiewne słoje
babiego lata
kołują
nad czołem

Gdy noc zawoła
słońce wjedzie na kołach

Nie zgasisz
płonącego
czoła
czułą
poduszką
snu

PRZYPOMINAMY O KONKURSIE „KAMENY"

Włączając się do akcji „Wiedza pomaga w życiu" Redakcja „Kameny" ogłasza konkurs pod hasłem:

„CZY ZNASZ GEOGRAFIĘ LITERACKĄ LUBELSZCZYZNY?"

Podajemy spis miejscowości ziemi lubelskiej związanych z urodzinami, życiem lub śmiercią wybitnych pisarzy, znanych z historii literatury polskiej:

BIAŁA PODLASKA, BIŁGORAJ, KOŃSKOWOLA, LUBLIN, NAŁĘCZÓW, PUŁAWY, REJOWIEC, WOLA OKRZEJSKA, ZAMOŚĆ

Rozwiązanie konkursu polega na podaniu, jacy pisarze wchodzą tu w grę. Zaznaczamy, że w stosunku do niektórych miejscowości trzeba podać kilka nazwisk.

Odpowiedzi należy nadsyłać w terminie do dn. 1 marca br. pod adresem Redakcji „Kameny", Lublin, Graniczna 1-c, załączając poniższy kupon. Odpowiedzi bez kuponu są nieważne.

Uczestnicy konkursu, którzy nadeślą odpowiedzi najpełniejsze, otrzymają cenne nagrody rzeczowe i książkowe.

KUPON

NA UDZIAŁ W KONKURSIE „KAMENY" POD HASŁEM „CZY ZNASZ GEOGRAFIĘ LITERACKĄ LUBELSZCZYZNY?" — OGŁOSZONYM W RAMACH AKCJI „WIEDZA POMAGA W ŻYCIU".

NOTY

NALEŻY GORĄCO POWITAĆ esej Witolda Zalewskiego „Ziemia pilota" wydrukowany w n-rze 3 „Przeglądu Kulturalnego". Przypomina on Conrada, Malraux i Saint-Exupery'ego, którym „pokolenie zabrane przez wojnę zawdzięcza wiele", ale poświęcony jest autorowi „Nocnego lotu". Mimo zastrzeżeń, jakie ma Zalewski w stosunku do pisarza, który „upraszcza świat", który stwierdza, że „prawda nie jest tym, czego można dowieść, ale tym, co upraszcza", w ostatecznej konkluzji dochodzi do wniosku, że doświadczenie twórcy „Ziemi, ojczyzny ludzi", aczkolwiek związane ze światem elementów podstawowych — niebem, powietrzem, samotnością człowieka przy maszynie, jest nam w dzisiejszej rzeczywistości przydatne. Bo „jakże może nie być przydatne męstwo płynące z poczucia odpowiedzialności?". Racja najzupełniejsza. I wymienieni przez Zalewskiego trzej pisarze — a dodajmy do nich Londona, Polewoja („Opowieść o prawdziwym człowieku"), Gorbatowa („Arktyka na codzień), uczących męstwa, siły woli, poczucia obowiązku i Dickensa, i Prusa, i Zakrzewskiego, uczących miłości człowieka i poświęcenia — to nie tylko artyści, ale i wychowawcy. Książki ich powinny się znaleźć we wszystkich bibliotekach szkolnych.

„ŚWIAT" w kolejnych numerach, trzecim i czwartym, zamieścił artykuł J. Wierzbowskiej i A. Piwowarczyka „Świadek, który zginął" — o hitlerowskim Konradzie Wallenrodzie, Kurcie Gersteinie, co pracował w SS po to, by ujawnić światu zbrodnie niemieckiego faszyzmu. Dla autora not wiadomość ta była rewelacją. Artykuł ilustrują zdjęcia fotograficzne z Archiwum Żydowskiego Instytutu Historii w Warszawie. Wystarczy spojrzeć na fotografię w n-rze 3, gdzie piątka zbirów w mundurach znęca się nad bezbronnym leżącym na ziemi Żydem, na rozbawione, roześmiane miny oprawców, aby czasy pogardy w całej pełni odżyły w pamięci. A przecież nie przeminęły one jeszcze: kukluksklaniści amerykańscy potrafią podobnie „zabawiać się" z Murzynami. Bestie? Nie ubliżajmy nierozumnym zwierzętom.

„NOWA KULTURA" (nr 4) zapoczątkowała dyskusję o poezji, ściślej o najmłodszej poezji. Zapoczątkował ją już Antoni Słonimski w poprzednim n-rze żarliwym utworem „W obronie wiersza", za który, jak się dowiadujemy, otrzymał od wielu osób poprzez listy i telefony „wyrazy uznania", a swój pogląd na naszą najmłodszą poezję ujął szerzej w „Liście otwartym" zamieszczonym w tym tygodniku ostatnio. Felieton w niniejszym n-rze „Kameny" zahacza lekko o to zagadnienie.

KTO KOGO? W n-rze 2 „Współczesności" Marian Grześczak dzieląc się z czytelnikiem wrażeniami ze „Spotkań radzieckich" wspomina m. in. o gruzińskim poecie Czikowanim. Zaintrygowało nas zdanie: „Kiedy zapraszając mnie — na przyszłość — w odwiedziny do swojej willi w Tbilisi — zapytałem o adres..." Kto kogo zapraszał?

PODAJEMY DO WIADOMOŚCI tych czytelników „Kuriera", którzy pragnęliby zapoznać się z przygodami Cyrana de Bergerac nie z numeru na numer gazety w irytujących strzępkach i w streszczeniu nieznanego przekładu, ale w całkowitej wersji, że książka Galleta w tłumaczeniu świetnego poety Wiktora Gomulickiego, poprzedzona wstępem jego syna Juliusza, ukazała się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i kosztuje 22 zł. A „Kurierowi" podajemy tu kilka sensacyjnych pozycyj do następnych kolejnych comicsów: „Blaski i nędze życia KURTYZANY", „ZBRODNIA i kara", „SZALEŃSTWO Almayera", „CZARODZIEJSKA góra", „FAŁSZERZE", „KŁĘBOWISKO ŻMIJ".

-kaj-

Widzi mi się

O grafomanii i manii słów kilka

GRAFOMANIA to dosłownie mania pisania. Gdyby tylko tak było, pół biedy. Ale jakiego pisania i w jakim celu? Definicja Słownika języka polskiego PAN określa to wyraźnie: „mania pisania utworów literackich połączona z brakiem talentu". To już brzmi poważniej: a więc złego pisania i w zamiarze publikowania tego drukiem. Bo, jak twierdzi słusznie Parandowski: „dzieło literackie jest przeznaczone dla słuchaczy i czytelników". Obojętne, czy jest naprawdę dziełem, czy tylko w mniemaniu piszącego. A autor, choćby stawiał tylko pierwsze niedołężne kroki w opanowaniu trudnej dyscypliny pisarskiej, już się uważa za „twórcę", już chce widzieć swe nazwisko w druku i ku utrapieniu redaktorów zalewa pisma stosami nieudolnych próbek. Zwłaszcza istotny grafoman.

Gdybyśmy się zatrzymali tylko na dosłownym znaczeniu tego wyrazu, grafomania dla prawdziwych pisarzy byłaby czymś pozytywnym: mania, gwałtowna i wciąż trwająca potrzeba pracy literackiej, sprzyja płodności pisarskiej. Tak pojmując ten wyraz uznalibyśmy, że Lope de Vega, Dumas — ojciec czy nasz Kraszewski byli grafomanami. Oczywiście, ilość okupywali jakością, ale mimo to nie byli brakorobami.

Tak pojęty wyraz w zastosowaniu do dziesiątków tysięcy istotnych grafomanów mógłby nawet w pewnym sensie świadczyć o nich dodatnio: zamiast pić wódkę czy rznąć z kolegami w karty wolą czas wolny po pracy zarobkowej spędzić przy stole z ołówkiem w ręce i pisać. Ci ludzie zaglądali do książek i pozazdrościli ich autorom. To są jednak jakieś szlachetne ciągotki. I jeżeli chcą mieć słuchaczy, to i tę ambicję mogliby zaspokoić w gronie najbliższej rodziny, kolegów i koleżanek. Mogliby nawet zdobyć w ciasnym kręgu swych odbiorców pewne uznanie — namiastkę nęcącej ich sławy. Ale sęk w tym, że to by im nie wystarczało. Mierzą wyżej. I tu właśnie zaczyna się tragedia: z jednej strony męka redaktorów, którzy lojalnie czują się w obowiązku przeczytać to, co otrzymali, a z drugiej — gorycz, niechęć, a czasem obraza i gniew tych, którym to odrzucono. Rzadko przyjmą ten cios obiektywnie, przeważnie doszukiwać się zaczną niesprawiedliwości w ujemnej ich ocenie.

Piszący te słowa przeczytał setki takich niewydarzonych próbek. Przede wszystkim wierszy. Nieraz oczy przecierał ze zdumienia. Już mniejsza o ortografię, ale co za naiwność, jaki bezgraniczny brak krytycyzmu — i ci ludzie uważają, że to się nadaje do druku! Nieraz śmiech go ogarniał, jakby czytał humoreski. Czasem myśl się budziła, aby na wzór przekrojowego „humoru ze szkolnych zeszytów" wprowadzić w piśmie „humor w nadsyłanych wierszach", ale byłoby to zbyt okrutne. Mimo wszystko przykro było pomyśleć, że gdzieś w dalekim miasteczku, w zapadłej wiosce ktoś z drżeniem serca czeka na kolejny numer dwutygodnika i dozna bolesnego zawodu, gdy w nim ujrzy zamiast spodziewanego wiersza wprawdzie nie zjadliwą, ale suchą odpowiedź: nie zamieścimy, zaprawioną czasem dla osłodzenia pigułki uwagą: radzimy czytać dobrych poetów. Przykro, bo może autor po takiej odpowiedzi poczuje niechęć nie tylko do pióra, ale i książek i zajmie się butelką i kartami.

Ale prócz nieszkodliwej albo nawet pożytecznej grafomanii w dosłownym znaczeniu tego wyrazu i tej szkodliwej — w szerszym, istnieje trzeci jeszcze rodzaj, wprawdzie już nie grafomanii, lecz w każdym bądź razie pewnej manii, bardzo niebezpiecznej. Mam na myśli katastrofalnie szerzący się u nas „modny bełkot snobistycznej blagi", powodujący inflację poezji. Bo jeśli mówią mi poważnie, że w Lublinie jest stu poetów, to jest sprawa naprawdę groźna. Stu w Lublinie, to znaczy kilka tysięcy w całej Polsce. Skoro jest ich tylu, to widocznie napisanie wiersza nie sprawia żadnych trudności. Tylko czy to naprawdę jest wiersz, czy naprawdę poezja?

X. Rovay

List do Redakcji

W numerze 21 „Kameny" z ub. roku p. Anna Tatarkiewicz w artykule pt. „O teatr nie-skromny" sugeruje mi, że przy ocenie na łamach „Teatru" spektaklu „Wujaszka Wani" Czechowa w lubelskim Teatrze im. Osterwy zastosowałem tzw. „taryfę ulgową", i twierdzi, że jestem „bardzo dobrym człowiekiem", który „nie chciał zrobić nikomu w omawianym przez się „skromnym teatrze" najmniejszej przykrości".

Dziękując za komplement (przyjemnie jest bądź co bądź usłyszeć, że jest się dobrym człowiekiem) i nie posądzając mojej lubelskiej Koleżanki o złośliwość, pragnę jednak wyjaśnić, że oceniając lubelskiego „Wujaszka Wanię" daleki byłem — podobnie jak i kiedy indziej — od przypisywanych mi intencji. Po prostu, porównując ten spektakl z innymi, znanymi mi inscenizacjami sztuk Czechowa (włączając w to i wrażenia z owych „zagranicznych wojaży" o których wspomina p. Tatarkiewicz), uznałem go za godny takiej właśnie oceny, jaką ode mnie otrzymał. To znaczy: zarzucając lubelskiemu przedstawieniu zatracenie specyficznego Czechowowskiego nastroju wskutek podkreślenia realiów (co sformułowałem chyba dość wyraźnie), dopatrzyłem się w pracy reżysera i grze aktorów sumiennego wysiłku i momentów udanych. Jeszcze szerzej rozwinąłem te tezy w artykule pt. „Dwa razy Wujaszek Wania" w nr 46 „Przyjaźni" z ub. roku, gdzie zestawiam lubelskiego „Wanię" z „Wanią" w warszawskim Teatrze Ziemi Mazowieckiej.

O tym, jak różnie oceniać może krytyka poszczególne spektakle, świadczyć może m. in. i to, że wcale nie uważam za „niewypał" granego w Lublinie „Mężczyzny" Zapolskiej, a w każdym razie trudno mi uwierzyć, aby p. Zofia Modrzewska jakąkolwiek swoją pracę z góry na niewypał przeznaczała. Widziałem natomiast w Teatrze im. Osterwy niejeden spektakl zdecydowanie, zdaniem moim, nieudany.

Oceny recenzenta mogą być mylne (jak każdy sąd artystyczny), ale ocena pozytywna nie musi świadczyć o „dobroci" i niechęci do zrobienia komukolwiek przykrości, tak jak ocena negatywna o stronniczości. Mówiąc zaś o „skromnym" teatrze miałem na myśli taki teatr, który — jak większość scen w Polsce — musi walczyć z trudnościami tzw. „obiektywnymi", przede wszystkim obsadowymi. Nie można przecież wymagać od najambitniejszego nawet teatru terenowego, aby przy dobieraniu aktorów do sztuk Czechowa rozporządzał takimi możliwościami, jak MCHAT czy bodaj Teatr Polski lub Teatr Narodowy w Warszawie. Jeśli branie tego rodzaju trudności pod uwagę nazywa p. Tatarkiewicz „taryfą ulgową" — to istotnie ją w omawianym przypadku zastosowałem i zamierzam stosować nadal.

Z koleżeńskimi pozdrowieniami

Eugeniusz Żytomirski

Odpowiedzi Redakcji

P. P.

W. M. w Maszewie. Z drobnych opowiadań nie skorzystamy. Dziękujemy za życzenia i przesyłamy je nawzajem.

A. Waś w Kożuchowie. Z nadesłanych próbek stosunkowo najlepsze „Rozstanie". Nie zamieścimy.

Rom. Tob. w Opolu. Może, ale nie na pewno, wydrukujemy; usuniemy z III części trzy ostatnie linijki.

Jan Biał. Trzy wiersze: „List z domu", „Bursztynowej dziewczynie" i „Licznik Geigera" przekazaliśmy redaktorowi działu „W stronę młodych".

Jan Lob. w Krakowie. Zatrzymujemy „Babkę" i „Zakochanego diabła".

Z ARCHIWALIÓW LITERACKICH

MIROSŁAWA DERECKIEGO

Drogi mój!

W pierwszych słowach mojego listu zmierzchowego, zapytuję, jak u Ciebie z poradnością wierszowaną bo u mnie żywotność nader wspaniała.

Chciałem do Ciebie kilka słów już dawno, ale dawno, że to tak aż blisko się wydaje, ale i nie tak znowu blisko bardzo. Fiszę do Ciebie w takiej jednej komórce, którą mi pan Bojarski z Wałbrzycha użyczył, świeca filuje i mnie jest dobrze tak razem z kurami a i sypialność moja dzisiaj jest żadna.

Więc chcę się z Tobą podzielić Drogi mój nastrojem moim świątecznym i liczebnością zachwyceń moich i staranności weselności.

Wałbrzych jest pięknym miastem albowiem. Kopalnie tutaj są gory podziemne tak sądzę, albo winnice czarne bardzo wspaniałe. Tak jakby we Francji albo i gdzie indziej.

Ludzi jest tutaj mnogość niezrównana ale to tak już być musi, że w górach turyści i przewodnicy i górale obcują.

Ludzie tu dobrzy i nad biednym poetą się litują co nie ma gdzie spać albo i gorzej jeszcze. Więc nie dziwo się plamom moim nalistnym bo to nie kury albo koguta jakiego wina. tylko łez moich serdecznych, wdzięcznych co jak małe liski gdy w norach długo, długo, aż potem nie wiedziećkiedy na słoneczność dzienną powszednią wychodzą.

Ty mi mówisz— „bezokolicznik" i „szyk zdania" i „składnia" i jeszcze inne trudne wyrazy rzucasz w moją biedną głowę skołataną. A ja Ci odpowiem. się mylisz tak myślę, bo bezokolicznik jest tylko częścią mowy a moja mowa cała jest bezokolicznikiem i ja sam jestem jednym wielkim bezokolicznikiem permanentnym.

Gwiezdność nocy już blednie. Sennie ściskam ręce.

Twój Edward Stasiura

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 389 26.I.61. Nakład 1000 — W-3